

TYGODNIK ILLUSTROWANY



PORTRET

LUDOMIR JANOWSKI

Co mówi księga Vendidad.

Dzisiaj, przed oczyma naszymi, dzieją się rzeczy, które w duszy współczesnego uświadomionego Polaka o dziwne struny trącają. Oglądaliśmy, jak wysłańcy nasi do Izby państwowej spełnili toasty za ideę słowiańską w Petersburgu, oglądaliśmy wysłańców pobratymczych nam Czechów, Słoweńców i Rusinów na postoju w Warszawie, będziemy w lipcu oglądali jakieś próby preliminaryów w Pradze Czeskiej. Wypadki te związane są jednocześnie z ruchami dyplomatycznymi monarchów europejskich i prezydentów, ze zjazdami londyńskim, rewelskim i innymi, które nastąpić mają. Rozpoczyna się jakiś lawn tennis w nowe piłki, zwane neo-slawizmem, które na torach sportowo-politycznych Europy zajmą swe historyczne miejsca obok albańskich, macedońskich, ormiańskich i t. p.

Panslawizm rosyjski, mający w założeniu nawskroś imperyalistyczne dążenie stworzenia wielkiego państwa z dwiema stolicami, w Petersburgu i w Konstantynopolu, nie udał się, bo Rosya siły wewnętrznej do tego nie posiada, kultury własnej stworzyć nie zdołała, obcej wziąć nie chciała. Płonna była wizja dawnego imperyum rzymskiego.

Rzym starożytny, będąc zlepkiem narodów, żył tego faktu konsekwencją. Mając pod berłem wszystkie nieledwie ludy świata, sprowadził do siebie wszystkich bogów, jacy istnieli, i tem istniał nad podziw długo. Dla idei imperyalistycznej, która musi łączyć różnorodności, patriotyzm, pielęgnowanie jakichkolwiek uczuć lokalnych, jest szkodliwy. Imperyalistyczny panslawizm Rosyi musiał się zakończyć niepowodzeniem, był samemu sobie sprzecznością.

W połowie XIX stulecia w Europie stał się fakt niesłychanej doniosłości historycznej. Niemcy skupili się w państwo o cząsteczkach bardzo do siebie przystających jednością języka i podobieństwem instynktu obyczajowego. Sześćdziesiąt milionów ludzi prawie jednorodnych! Tak olbrzymiego zjednoczenia sił, w jednym kierunku działających, historia Europy dotychczas nigdy nie widziała. Wobec takiej silnicy politycznej czemże są motory operetkowej Francji, anarchistycznej Rosyi, kształtującej się dopiero federacji austriackiej? Żądać od szczęśliwych, ponad poziom rasowych uzdolnień wydzwigniętych parweniuszów politycznych polityki, obliczonej na dalszy czas, jest niepodobieństwem. Zabobność ich nie zna rozumnych granic, czego dowodem ustawa wywłaszczenia Polaków. Jest to początek końca Niemców, jako wielkiego cywilizowanego narodu. Stanęli na martwym punkcie.

Ten koniec wszakże musi być długi i, w miarę nieudawania się ciosów, dla mniej lub więcej zależnych od nich narodów słowiańskich coraz wścieklejszy i dotkliwszy. Naprózno zastawiać się będziemy szkłem zasad i sprawiedliwości, korzyści zobopólnej, miłości bliźniego, nic ich nie wróci z drogi,

jedna siła. Wszelkie złudzenia pod tym względem są stratą drogiego czasu.

Na tle obrony przed ślepym atakiem Niemców powstaje neo-slawizm; ma grunt niezaprzeczenie realny. Niemcy napierają dwojakim sposobem: drogą gwałtu, przez fikcję wolnego zdania, czyli współczesny ich parlament, i drogą kultury, przez oświatowe i ekonomiczne organizowanie mas. Odpowiednio do tego neo-slawizm dwoma łożyskami płynąć musi: i politycznym, i kulturalnym.

Neo-slawizm polityczny musi dążyć do trwałego przymierza Austrii z Rosją, co jest oczywiście możliwe tylko przy slawizacji Rosyi.

Neoslawizm kulturalny musi dążyć do zadzierzgnięcia mocnych i licznych węzłów ekonomicznych, oraz do natężenia tych wspólnych strun duchowych, które stanowią o podobieństwie wierzeń i obyczaju. Czy takie struny wspólne istnieją? Czy poza blizkim językiem, co zresztą nie rozstrzyga jeszcze o jednorasowości, można dostrzedz jednocześnie w Polaku, Czechu, Rosyjaninie, Słoweńcu coś specjalnie słowiańskiego? Czy zatem, neoslawizm jest próbą złączenia żywiołów różnorodnych wobec wroga, czemś biernym, z góry na niemoc skazanem, czy też jest skupieniem podobnego, a zatem faktem twórczym? Oto kapitalne, lecz bardzo trudne do odpowiedzi pytanie.

Mnie się zdaje, że dzisiaj słowiańskość, jako pojęcie, określoną rasę ogarniające, jest całkiem proste. W takim znaczeniu Prusacy, jako jedni z najniewątплиwszych Słowian, powinni być znaleźć się w Pradze *).

*) Dzisiejsi Prusacy powstałi na podłożu etnicznej fińskiej, które przemogło pomieszane z nimi żywioły słowiańsko-aryjskie. Pojęcie państwa mają najzupełniej mongolskie.



nie chodzi o slawizm, ale idzie o aryizm. Wszystkie ludy Europy północnej i środkowej są wielokrotnymi mieszancami rasy białej — Aryów i rasy żółtej — Finów-mongołów; niema Germanów, Celtów, Słowian, są tylko ludy mniej lub więcej ucywilizowane w narody. Krew żółta dąży do życia stadnego, despotycznego, krew biała — do życia osobniczego, wolnego, a stopień mieszaniny rozstrzyga o przewadze takich lub innych instynktów przy budowie urzędów gospodarczo-państwowych. Trzy są w Europie dzisiejszej oazy, gdzie przechowała się dzisiaj silna białość rasy: lud angielsko-szkocko - wallijsko - irlandzki, Skandynawi i część ludów, zwanych na zasadzie podobieństwa języków słowiańskimi, z których wszakże tylko część zachodnia zdradza silnie cechy starożytnych Aryów.

W staro-irańskich księgach Vendidad znajdujemy zdumiewająco trwale rysy Aryów, które zachowały się do dzisiaj poprzez mieszaniny ludów wiele tysięcy lat: silne miłowanie wolności osobistej, a stąd swego domu, czy kawału ziemi, przywiązywanie do form państwowych wartości li tylko praktycznej i stąd płynąca odraza do doktryn społecznych, pojęcie Bóstwa, zjednoczonego z przyrodą, mieszkającego w człowieku i udzielającego mu piętna nieśmiertelności i bohaterstwa, cześć zmarłym, szacunek dla kobiet i nawet cechy tak drobne, jak lubienie koni i psów. W księdze Vendidad czytamy wskazania: „Ktoby zabił sukę szczenią, ten zabił człowieka“.

Na takich to elementach przyrodzonych, a zatem silnych, mógłby powstać tak zwany neo-slawizm, lub lepiej neo-aryizm, jako prąd twórczy, instynkty despotyczne infuzji mongolskich i murzyńskich zwalczający. W takim znaczeniu neo-slawizm wraz z samoobroną od gwałtów spełniałby zadanie odniedkczemniania Europy, w czemby mógł liczyć na poparcie wszystkich białych elementów zachodnich. Dzisiejszą Europą rządzi wyróżzona szansonistka, tańcząca „cake-walke’a“, i jej impressario.

Dwa wielkie narody, historycznie zgwalone, Polacy i Czesi, odsunięci byli do roli paryów w tym wieku XIX, którego orgie pchają ludzkość do przeszacowania wartości. Może z tego powodu zachowali świeżość i twórczość. Czesi, jak biblijna Marta, zajmują się przygotowaniem chleba, Polacy, jak Maryja, siedli u stóp Chrystusa. Geniusz polski, z prażródeł aryjskich płynący, dał światu przez usta Mickiewicza słowo. To słowo stanie się ciałem.

Ani jednej cząsteczki z tego słowa niepodobna sprzedać za srebrniki, bo ciało nigdyby się nie stało. I to jest tem zastrzeżeniem w Petersburgu, z jakim Polska przystąpić może „szczerością naga“ do ligi słowiańskiej.



U ALCHEMIKA

WACŁAW BROŻIK

ZUZANNA ALEKSANDRA:

Z WRAŻEŃ.

BOLESŁAWOWI PRUSOWI
poświęcam.

I. ŹRÓDŁO MIŁOŚCI.

W rozległym, starym parku, szumiącym, jak morze zielone, pełnym kwiatów kolorowych, szpalerów cienistych i białych łabędzi na cichych wodach, tryska Źródło Miłości.

Tak nazwali je ludzie.

Woda pieni się i szumi, płynąc z niewidzialnych, głęboko w ziemi ukrytych źródeł, ujęta w karby ocembrowań, ujarzmiona inżynierskimi, cudacznymi pomysłami. Nie dano jej wzbić się prosto z ziemi naturalnym pędem, wzbić się wysoko i zwycięsko, jak skryształony oddech ziemi, i kaskadą uperloną opaść w łóżysko rwącego strumienia. Kamień opanował pęd żywy. Sztuka zastąpiła i tu naturę — sztuka zuchwała i tryumfująca.

Woda mimo to buntuje się i pieni, i duch w niej nie zamarł. Jest chłodna, przezroczysta, przedziwnie świeża. Ogromną falą bije z kamiennej piersi sztucznego źródła.

Dziwna nazwa i dziwna poezja tej wody...
Źródło Miłości...

Czyż anioł w noc jaśminową, w parną, cichą noc ś-tojańską, gdy wśród gałęzi palą się zielonkawe światełka robaczek, a usta i serca młodych ze sobą się łączą, wymówił nad wodą te słowa święte, cudownobrzmiące?

Czy wyszeptaly je drżące wargi tęskniacej w noc samotną, w błękitną, pustą noc czerwcową?

Czy ochrzciły ją słodką nazwą rzesze cierpiących?

Źródło Miłości...

O, gdybyż można przypaść do ciebie ustami i duszą pragnącą! W dłonie, usta, w piersi nabrać wody cudownej na całe, ogromne, smutne życie! Chłonać cię, chłouąc w pragnieniu bezmiernem, o wodo szumiąca!

Na łańcuszku rdzawym zawieszony mały kubeczek. Z tego kubka pić wolno wodę ze źródła miłości. Przychodzą tłumy, we dnie upalne po kilkanaście osób naraz, krzywdzący i krzywdzeni, pokorni i tryumfujący, i piją spragnionymi ustami chłodną wodę. Zbliżają się kolejno, chwytają mały kubek, do ust go niosą, lecz łańcuszka nie staje. Schylić się muszą, by go dotknąć spalonymi wargami.

O jakże smutny symbol, ten kubek za mały i ten łańcuch za krótki.

U Źródła Miłości nie można więc naprawdę ukoić pragnienia swego, uspić tęsknoty rwącej?!

O, jakżeś prawdziwa, ty, biedo miłości, nieukojonej niczem, ty, nędzo daremno pożądana! O, jakże bolesny tragizm nie zaspokojonych żądz u samego źródła!

Szum mi przeto, szum! Niechże przynajmniej twój szum, ta twoja poezja, ta mowa twej duszy, wiecznie czujnej, uspokoi duszę tęskniącą!

Nie mogę przypaść do ciebie w tęsknocie bezmiernej i pić, pić pełnymi ustami, pić bez pamięci wodę cudowną — niechże mi przynajmniej szumi, niech kołysze ten szum senny i wieczny Źródła Miłości...

M. M. POZNAŃSKI:

BYŁO...

☪

Było nas dwoje: ja, ona,

I księżyc na niebie był trzeci;

I stawu tafla srebrzona

Wśród kwiatów akacyi zamieci.

I były ciche irysy,

Nad wodą schylone w omdleniu;

I mgieł rozpetzłe zarysy,

Ginące w dalekich olch cieniu.

I była jakaś rozmowa,

I długie w rozmowie odstępy...

Zmięte, jak suknia balowa,

Gdzieś słów purpurowych mdłe strzępy...

I były dłonie splecione

Nad pragnień wystygłych mogiłą;

I jakieś tęcze rozwiane...

I — nic już, nic więcej nie było.

— Mówię, jak przyjaciel wolności naszej i rosyjskiej, o której partye rewolucyjnej stanowczo zapomnieli... Do ogłoszenia manifestu październikowego można było burzyć się... stawiać barykady... zabijać i ginąć... Ale po manifestcie październikowym należało zmienić taktykę.

— I co robić, według pana?... — spytał impertynencoko Świrski.

— Przedewszystkiem, jak najprędzej podziękować za manifest, czego nie zrobiono, a następnie wziąć się do wykonania zasad manifestu... A więc do zaprowadzenia: wolności osobistej, wolności wyznaniowej, wolności słowa, wolności zebrań i stowarzyszeń... A więc do wybierania na posłów ludzi możliwie najlepszych i najmądrszych. Słowem, należało wziąć się do pracy cywilizacyjnej, budującej, nie zaś burzącej.

— Mówi pan, jak burżuj...

— Myli się pan. Mówię, jak człowiek, który nie tylko wolność kocha, ale dla niej pracował... I nie tylko dla wolności pracował, lecz nad nią przez wiele... wiele lat rozmyślał. Co nie wszyscy umieją...

— Kaziu — nieśmiało odezwał się Linowski — trzeba zastanowić się nad tem, co mówi pan doktor... On bił się, o czem my dopiero marzymy...

— Przepraszam... — zabrał głos Świrski. — Więc pan, panie doktorze, mówi, że my nie mamy obowiązku pomagać Moskalom w walce o wolność? Czy może pan objaśnić...

— Na czem opieram to przekonanie?... Najprzód na tem, że dzisiejszy zamęt, który bynajmniej nie jest rewolucją, jest — niepotrzebny.

— Przypuśćmy. Ale jest — wtrącił Świrski.

— Oto powód! — zawołał doktor. — Kiedy my, prawda że nie w porę, walczyliśmy za ich i za naszą wolność, wówczas jedna część rosyjskiej opinii potępiała nas bez miłosierdzia, a druga, lepsza i rozsądniejsza, dowodziła, że: błędziliśmy, walcząc, że zaszkodziliśmy sprawie wolności. Bóg zapłać za dobrą radę! Dziś zmieniły się role... Dziś ja, Polacy, mówimy, że należy skończyć z fermentem rewolucyjnym, a wziąć się



DO SZKOŁY

M. L. BOYER-BRETON

do roboty nad wolnością. Tak, panie, gdyż wolność, jak wszystko na tym świecie, nie tyle zdobywa się walką, ile mądrością i pracą... My, powtarzam, nie mamy interesu w ruchawce, tylko w pracy kulturalnej: w szkołach, fabrykach, folwarkach, warsztatach, sejmikach, kościołach. A jeżeli ruchawka szkodzi naszym interesom, dlaczego ją podtrzymywać? Czy to nie szaleństwo i zbrodnia?

że pan doktor dobrze mówi... — wtrącił znowu Linowski.

— Nie czuję tego!... — odpowiedział Świrski, wstrząsając głową.

— Więc co pan chcesz robić?... — zapytał doktor. — Bo przypominam, że na coś trzeba się zdecydować, i to prędko. Przecie szukają pana!...

— Niech szukają! — odparł z zaciętością Świrski. — A ja zrobię to, co powinien ro-

— Więc, według pana, powinniśmy opuścić sprzymierzeńców?

— Odręczając akt konstytucyjny, oni nas opuścili, nie my ich... Zresztą Rosya w porównaniu z nami jest tak ludna i tak silna, że, o ile potrzebuje rewolucji, sama da sobie radę. Kto z naszych pragnie wojować, niech idzie tam; ale niech zostawi w spokoju kraj, który nie chce walki.

— Pańska teoria naraziłaby nas na nienawiść całej Rosyi liberalnej!... — przerwał Świrski.

— My Rosyi liberalnej sto razy więcej usług oddamy w parlamencie, aniżeli gdy będziemy zabijali z poza węgła żołdatów, albo takich Mielnikowych... Finlandya nie urządziła ruchawki, ale jej wolność jest tym płomykiem, od którego łatwiej zapala się swobody rosyjskie, aniżeli od wszystkich bomb i brauningów... Mojem zdaniem, powinniśmy naśladować mądrą Finlandyę, nie Kaukaz. W rzeczywistości zaś, jeżeli tak dłużej potrwa, staniemy się poprawną edycją Kaukazu. Rosyi nie pomożemy, a sobie zgotujemy piekło...

— Jakim sposobem?... — zapytał Świrski.

— Bardzo prostym. Rząd, zdusiwszy niby-rewolucyę, może, co najwyżej, nie dać Rosyi tych, czy owych swobód; ale nad nami będzie się mścił... On przecie swemu narodowi nie narzuci obcej wiary, obcego języka, obcych urzędników i instytucji, jak zrobił u nas... My, popierając rewolucyę rosyjską, postawilibyśmy na kartę byt narodowy, porządek społeczny. Czy więc mogą uczciwi Rosyanie żądać od nas podobnej ofiary?... I jeszcze dlaczego?... Dla podtrzymania ruchu, który samejże Rosyi szkody przynosi.

— Mnie się zdaje, Kaziu,

bić każdy Polak, gdy zbliża się dzień wolności...

Dębowski wyrzucił do góry obie ręce i zacisnął pięści.

— Dzień wolności... dzień wolności!... — wykrzykiwał doktor z gniewem. — Ja zaś, jeżeli mamy bawić się w metafory, ja wcale nie widzę dnia... zaledwie świt, i to jeszcze krwawy... A jaki po nim dzień nastąpi — dyabli wiedzą... Zresztą, zrobisz pan, jak ci się podoba, byleś Władka nie ciągnął za sobą...

— Władek powinien jechać z ojcem, choćby do Galicyi... — odpowiedział Świrski.

— A pan nie możesz tam pojechać?... Chcesz pomagać rewolucyi rosyjskiej, na zdrowie!... Ale pierwej musi ona wybuchnąć,

na ten zaś wybuch daleko łatwiej zaczekać w jakimś bezpiecznym kącie, aniżeli tutaj, gdzie lada chwila mogą cię złapać i ciupasem odesłać do najbliższego więzienia. Nie rozumiem zaś, co na tem zyska wolność, jeżeli i na pańskiej skórze będą się pasły wszy...

— Powtarzam panu, że mnie ciupasem nie odesła!... — przerwał Świrski.

— A ja powtarzam panu, że, jeżeli ci się podoba, możesz sobie kark kręcić... Tylko nie opowiadaj później, że ci brakowało przestrogi i dobrej rady!...

— O przestrogi zawsze łatwo... szczególniej spóźnione... — mruknął Świrski.

Doktor popatrzył na niego ze złością,

nasunął mocniej czapkę i — prędko poszedł do domu.

— Wszyscy mądrzy, kiedy im nic nie grozi... — rzekł Świrski do Władka. — Ale dla czego ci mędrzy... ci... ludzie doświadczeni... nie występowali z podobnemi radami na wiecach, gdzie można było dostać pięścią, albo i nożem?... A ja wówczas radziłem... wówczas, kiedy naprawdę był dopiero świt dzisiejszego stanu...

— No, na wiecach starzy nie mogli przemawiać, bośmy ich tam nie wzywali... — wtrącił Władek.

— A dzisiaj zapóźno, kiedy już rozpalit się krwawy świt!... — przerwał Świrski ze złym śmiechem i także zawrócił w stronę domu. (DCN)



WIKTOR GOMULICKI:

NA BIAŁEJ RUSI.

Na białoruskich polach cisza senna leży,
Jak przedporanna mgła;
A w białoruskich chatach płynie szept pacierzy,
I skrzypka tęsknie gra.
I słońca bledsze tu promienie,
I tajemnicze w twarzach cienie,
I jakieś ducha zatajenie,
Co, mimo wszystko — trwa.

Białoruska dziewczyna nigdy nie wybucha,
Rzadki też u niej śmiech,
Lecz ma w sobie silnego, upornego ducha,
Anioła niskich strzech.
A w obyczajach jej stateczność,
A w jej obejściu się serdeczność,
A gdy pokocha, to na wieczność,
Bo łamać wiarę — grzech.

Białoruscy wieśniacy — smętni myśliciele;
Ociężały ich krok;
Cisi w polu i chacie, w karczynie i kościele,

Półsenny mają wzrok.
„Ty śpisz, a doła twoja rośnię“
Słychać tu zimą i o wiosnie —
I tak, pół-rzewnie, pół-radośnie
Płynię za rokiem rok.

Białoruskie sumienia nie lubią odmiany —
Wszak zawsze świat ten sam!
Słuchają, co krzyż mówi, co szepczą kurhany —
Ciągnie je tu i tam...
I słyszą Boga w wichrów chórze,
I w całej widzą Go naturze —
I w rozerwanej gromem chmurze
Szukają w niebo bram.

O białoruska mowo! Twój dźwięk śpiewny budzi
Echa zamarych lat...
Ty jesteś mową białych, mir czyniących ludzi,
Puszcz wonnych, jasných chat.
Tam, gdzie słowiańskie włada słowo,
Ty dzwonisz nutą skowronkową —

O szczebiotliwa, słodka mowo,
Miodna, jak lipy kwiat!

O białoruska pieśni! Ty, jak kraj ten cały,
Posępny nosisz wdzięk;
Kurhany i mogiłki nutę ci podały
I kmieciów dawnych jęk...
Dziś kwitniesz dziko, w zapomnieniu,
Lecz, gdy cię wzniesie mistrz w natchnieniu,
Świat uczi cię w podziwieniu,
Bo nowy dasz mu dźwięk.

O białoruski ludu! Ścichną kiedyś burze,
Które nam zsyła los;
Wówczas, w słowiańskich plemion zespolonym chórze
I twój też zabrzmie głos.
A głos ten będzie serafowy,
Naksztalt ptaszęcej, rannej mowy,
Z serca płynący, a nie z głowy,
Dźwięczny, jak pełny kłos...



PASTUSZKA

F. P. MICHETTI



CIEŻKIE CZASY

TADEUSZ BUCHHOLTZ (Petersburg)

ANTONI POTOCKI:

POŻĄDANE DZIEŁO.*)

Jedną z zasadniczych funkcji każdej żywej, a kulturalnej społeczności jest skuteczne i stałe obcowanie z resztą społeczeństw, objętych w danym momencie dziejów kolosem wspólnych dążeń cywilizacyjnych. Społeczność, choćby najbogatsza w wątku własnego życia, lecz nie splatająca się nim z wątkiem przemian ludzkich, odcięta i odosobniona, tem samem już uboży swą misję historyczną, nie spełnia po części posłannictwa, którym jest w ludzkim świecie wzbogacenie ogółu człowieczeństwa o skalę wszystkich bogactw indywidualności rasowych, narodowych, stanowych lub osobistych.

Oddawna jesteśmy odcięci od świata więziennym murem warunków politycznych. oddawna też czujemy konieczność porozumiewania się z nim niejako ponad tym murem, w sferze takich pierwiastków twórczych, których nic zamknąć, uwięzić, okajdanić nie zdoła. Jednakowoż wszelkie te usiłowania, mniej lub więcej sztuczne i ubogie, dawania o sobie wieści obcym, nie zastąpią swobodnej owej wymiany wpływów, prądów, zdobyczy,

*) A. I. Jacymirskij. „Nowiejszaja polskaja literatura” (Najnowsza literatura polska—od powstania 1863 roku do dni naszych) 2 tomy po rosyjsku. Nakładem O. N. Popowej. Petersburg.

w których żyją wolne społeczeństwa Zachodu. Czujemy, że dzieje się krzywda ustawiczna polskim, w krwawym mozole ducha wypracowanym wartościom, że objawienia naszej myśli twórczej nie świecą jednak w tych zenitowych punktach myśli ogólnoludzkiej, ku którym wzniosło się natchnienie naszych wielkich. Ogromna miara naszej energii zużywa się każdodziennie na jałowy, płonny, bez nadzieiny trud pokonywania niepamięci, oporu, niechęci wschodnich i zachodnich sąsiadów, by wreszcie, pomimo nich niejako i wbrew im, wejść w należne nam z wszechludzką społecznością obcowanie. W tem właśnie tragedya naszego bytu duchowego, że te ościenne społeczności, które zazwyczaj są najlepszymi przewodnikami wymiany wartości narodowych na ogólnoludzkie, dla nas są właśnie tej wymiany nienawistnem utrudnieniem, są korcem dla światła.

Wszakże dotychczas jeszcze ogólnoludzka myśl nie uczyniła obrachunku z tem, co nazywamy epoką wielkich romantyków polskich i nie wzbogaciła się dotąd pierwiastkiem nieprzemogzonej wiary, tryumfującej miłości, który naszego romantyzmu rdzeń stanowi. Dotychczas jeszcze ten wpływ zbawieniny i nie dający się odnaleźć w żadnej innej

odmianie romantyzmu europejskiego, nie stał się dziedzictwem powszechnem. Jest to krzywda niepowetowana, dla samych wreszcie krzywdzicieli nieobrachowana...

Jednakowoż ostatnia doba twórczości polskiej jest tak wszechstronnie bujna, tyłma naraz jaśniejąca światłami, tak, choć w prastarem łożysku kultury bijąca, młodzieńcza, żywotna, źródłana, że coraz częściej pociąga ku sobie najdalszych, najbardziej uprzedzonych.

O młodej Polsce krążą jakieś wieści wśród obcych światów. Barwami krasnych swoich płócien, to gdzieś jawionym przepychem witrażu, to dziwnym wpływem polskiego genialnego szalawity modernizmu na modernizm niemiecki, to wszechświatową sławą romansu, to wreszcie świętą jakąś, jak dogmat tajemnej wiedzy, opinią o polskim baśniowym dramaturgu, tak oto nieodparcie ruchome jakieś światła polskie wieść niosą o spełniającej się tutaj pracy odrodzenia.

I oto mnożą się wśród obcych pożądający z własnej woli zbliżenia się ku nam, obcowania z nami. Za starymi przyjaciółmi polskości, jak Pypin, Jellinek, Leger, idą w ślad nowi jej poszukiwacze. Sami sobie drogę torują: tu i owdzie uczą się języka, wypyują

zrazu przychylnie lub ciekawie, potem zaś z budzącym się szacunkiem i zdumieniem.

Ilekoć zaś jakiś Duńczyk, Francuz, Czech lub Rosyanin z własnej woli zbliży się ku nam, zadzierzga się związek trwały. Związki zaś takie to najskuteczniejszy środek dawania wieści o sobie. Nie reklamą, nie sztucznym sposobem, lecz naturalnym węzłem interesów, prac, porozumień łączą nas one ze społecznością Wschodu i Zachodu.

Od czasu „Polski“ Jerzego Brandesa, która pierwszą była o nas książką po głuchej dobie milczenia na obczyźnie, nie mieliśmy do zanotowania pracy poważniejszej od świeżo wydanej próby charakterystyki współczesnej literatury polskiej przez docenta uniwersytetu petersburskiego, A. I. Jacymirskiego. Ani prace Czecha, prof. Karaska, ani próby literackich rekonstrukcji Francuza Sarrazin'a nie mają tej dla nas doniosłości i tej miary nie są, co dzieło Rosyanina. Tu, od strony wschodniej, pomimo wysiłków Pypina i Spasowicza, pomimo nawet pewnego współpracownictwa polskich pisarzy w piśmiennictwie rosyjskim, nagromadziło się było tyle przesądów, nieporozumień, błędów, że prawdziwie najwyższy czas naglił, by ktoś je rozproszył i dał młodej Rosji o Polsce wieść dobrej woli i zrozumienia.

To zadanie spełnia pożądane dzieło Jacymirskiego. Autor rosyjski daje więcej nawet, niżbyśmy żądać mogli: nie jest li tylko sumiennym historyografem naszej literatury, lecz niejako współpracuje z jej przemianami, stara się przeżyć niemal jej koleje, sięga nie wzrokiem tylko w jej głąb, ale szlachetnym, ludzkim sercem. W metodzie pracy trzyma się wątku pragmatycznego dziejów polskiej twórczości, ani nazbyt krępując się chronologią, ani nazbyt naginając rzeczywisty bieg przemian literackich do tej innej urojonej „syntezy“.

Tak zw. synteza, a raczej doktrynerstwo, bo o to przecież łatwiej, jest wogóle plagą takich opracowań.

Przytem, pisząc dla czytelnika, z literaturą polską nie obytego, p. Jacymirski obficie streszcza i przytacza urywki wybitniejszych utworów. By wreszcie czytelnika jeszcze bardziej zbliżyć do przedmiotu, autor przytacza jak najczęściej sąd krytyków i historyków polskich.

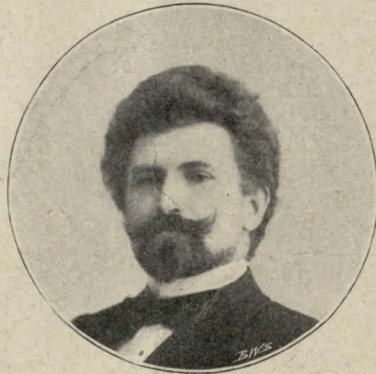
W ten sposób dwa duże tomy zarysu stanowią dla czytelnika rosyjskiego pierwszy surogat wiadomości nie tylko o literaturze polskiej, lecz poniekąd z niej samej czerpanych. Taki układ i takie przeprowadzenie tematu uważam za wzorowe w tym zakresie.

Wątek pracy prof. Jacymirskiego nawiązuje się mniej więcej w tym punkcie, gdzie się urwała praca Spasowicza. Rosyanin, który po przeczytaniu odnośnego działu literatury Pypina, przestudjuje książkę Jacymirskiego, będzie znakomicie przygotowany do samodzielnych studyów lub poprostu planowego wczytywania się w literaturę polską. Zaczem zadanie swoje książka prof. Jacymirskiego spełnia.

Jednakowoż rozważmy jeszcze, jakie drugostronne znaczenie mieć może ta praca dla nas samych i wreszcie pod jakim kątem indywidualnym załamuje promienie naszej twór-

czości? Oczywiście, praca obcego autora o nas tem jest cenniejsza, im mniej powtarza opinię swojskich krytyków, im wyraźniej przeprowadza jakąś myśl własną. Prof. Jacymirski musiał korzystać z przewodnictwa polskich krytyków, najczęściej posiłkując się Feldmanem, Chmielowskim, Brücknerem (cytuje podług stopnia, w jakim z nich autor czerpał). Poza tem zna prace Chrzanowskiego, Jabłonowskiego, Brzozowskiego, Stena i innych. Skłania się sam wyraźnie ku odłamowi krytyki modernistycznej z zabarwieniem radykalnym.

Podobnie jak u Spasowicza studium krytyczno-literackie opierało się na pewnej *myśli politycznej*, tak tu czujemy ustawiczną obecność pewnej *ideologii społecznej*, stanowiącej niejako podkład dzieła. Oto prof. Jacymirski stara się przeprowadzić w swej pracy,



A. I. JACYMIRSKIJ.

poprzez wszystkie artystyczne i literackie przeobrażenia polskiej powieści lub poezji, wątek przeobrażenia społecznego, odzywającego się w łonie narodu, zwłaszcza po roku 1863. Jakież to przeobrażenie? Rozkład szlachetczyzny, potęgowanie się pierwiastku demokratycznego, oto jego szranki.

Idea polska, nie przestając w każdym calu być narodową, co słusznie podkreśla autor, przeobraża się z idei szlachecko-konserwatywnej w ludowo-rewolucyjną. Rozróżnia więc p. Jacymirski w kolejnych, choć jedna w drugą wnikających, fazach odmiany myśli szlacheckiej, wyłonienie się demokracji szlacheckiego, demokracji burżuazyjny, reakcję przeciw burżuazji, wystąpienie w sztuce i literaturze proletariatu (tu odróżnia proletariaty wiejski i miejski), przybieranie prądu socjalistycznego, reakcję przeciw pozytywizmowi i neo-romantyzm, reakcję przeciw kosmopolityzmowi i wreszcie odradzającą się przez sztukę syntezę pierwiastków narodowych i ogólnoludzkich w talentach młodej Polski.

Schemat ten, jak widzimy, mógłby doskonale posłużyć za punkt wyjścia do studium socjologicznego, tu służy za podkład analizy literacko-artystycznej.

Każdy zrozumie zresztą, że jest to schemat aż nadto ogólny dla każdego współczesnego społeczeństwa: nie dla Polski go wynaleziono. Duch czasu w więzach tej doktryny czuje się może nawet mniej skrępowanym, niż w każdym innych.

O wartości zaś krytycznej książki, bądź co bądź, stanowić będzie nie doktryna, lecz miara wniknięcia i zrozumienia poszczególnych zjawisk literatury. Otóż tu p. Jacymirski zdradza nieraz więcej poczucia artystycz-

nego wogóle i zrozumienia polskości w szczególności, niż najchętniej przez niego cytowani krytycy nasi, jak Feldman lub Sten.

Książkę swoją, mimo pewnego przeładowania szczegółami, mimo pewnych pogmatwań sprawy z wewnątrz tylko i z przeżycia dokładnie dających się poznać wzajemnych wpływów i oddziaływań, mimo wreszcie nieuniknionego w takich nawpół publicystycznych opracowaniach błędu perspektywicznego w przecenianiu bliższych (doktryną) i niedoceniania dalszych utworów, autor ustrzegł się od wszelkiej trywialności partyjnej, od reklamizmu dla przyjaciół, od tej zwłaszcza półświadomej przesady dziennikarskiej, której obfite, niestety, wzory znajdował w autorach polskich, blizkich sobie sympatjami politycznymi.

Pozostanie też książka prof. Jacymirskiego, niezależnie od przemijającej swej wartości aktualnej, dziełem trwałego znaczenia. Myśl rosyjska zyskała w niej punkt wyjścia do orientowania się w literaturze polskiej, a zarazem już i znakomitą odprawę kursującym fałszom i błędom. Myśl polska zyskała wierną soczewkę do przesyłania swych promieni ponad głowami gasicielei, tam aż w głąb serdeczną, w dal niedostępną jednej potężnej ludzkiej zbiorowości.

Jedną jeszcze uwagę dla przyszłej, oby jak najprędzej, pracy prof. Jacymirskiego pozwolimy sobie tu zrobić.

Oto całkowite zrozumienie przeobrażeń twórczych Polski współczesnej nie jest możliwe bez uprzedniego wtajemniczenia się w naszą wielką poezję romantyczną. Romantyzm polski, powtarzamy to, ma olbrzymią, dotąd jeszcze nie ujawnioną doniosłość wszechludzką i prócz (poczęści zresztą) formy z rozmaitemi odmianami romantyzmu francuskiego lub niemieckiego bardzo mało ma wspólnego. Tam się sprzegły po raz pierwszy i w sposób bezwzględnie proroczy pierwiastki tej syntezy, dokoła której krąży dzisiaj myśl wszechludzka całej młodej Europy. Romantyzm ten trzeba poznać do głębi, zestawić go po pierwsze z romantyzmem zachodnim, potem zaś z twórczością doby obecnej, i wtedy dopiero wykreślą się same perspektywy, ustanowią się wartości naszej pracy twórczej lat ostatnich, dopiero wtedy.

Pewien znamienity pisarz rosyjski, Sałtykow (Szczedrin), przed śmiercią marzył o napisaniu dzieła p. t. „Zapomniane wyrazy“ (Zabytyja słowa): miała to być rzecz o owych słowach ewangelicznych, jak: Miłość, Prawda, Cnota, Dobro, które w języku spółczesnych zwietrzały i skurczyły się...

Te słowa, przemienione w żywe krynice natchnienia, były treścią improwizacji polskiego romantyzmu; zaś geniusz jego twórców rzucił je, jak gwiazdy przewodnie ducha narodowego, w zenit przyszłości. Ludzkość zenitu tego dobiega wolno...

I to jest złoty klucz do zrozumienia bezprzykładnej żywotności romantyzmu polskiego: z otwarcia jego ksiąg — miara dla twórczości spółczesnej.

Niech więc nie wierzy nigdy nikt w jakąś „walkę“ z polskim romantyzmem twórczości młodej czy najmłodszej, bez zrozumienia uprzedniego, na jakich to szczeblach jakóbowej drabiny ta walka winna się toczyć.

GÓRNIK
(BĄDŹ WOLA TWOJA)



JÓZEF DAMKO

WŁADYSŁAW ST. REYMONT:

CHŁOPI. LATO.

28)

— Odpiszą mi gront, to się kłopotal będę.

Zaczęli się o to mocno sprzeczać, aż wtrącił się Antek:

— Niema co, szkoła w Lipcach potrzebna, jeno na taką naczelnikową nie powinno się uchwalać ani grosika.

Poparł go Rocho, strasząc ich a podmawiając do oporu.

— Uchwalicie po złotówce, a potem każą wam dodać po rublu... A jakto było z uchwałą na dom la sądu, co? Dobrze się podpaśli za wasze pieniądze. Niezgorsze kałduny im porosły!

— Już ja w tem, aby gromada nie uchwaliła—szepnął Grzela, przysiadając się do Rocha, którego wion na stronę i, dając jakoweś pisma i książeczki, cosik z cicha i ważne nauczał.

Tamci zaś pogadywali jeszcze o tem i owem, jeno co jakoś ospale i bez wielkiej

chęci, nawet Mateusz był dzisiaj smutny, mało się odzywał, a tylko bacznie chodził oczami za Antkiem.

Mieli się już rozchodzić, boć trza było wraz ze dniem dźwignąć się do roboty, kiej przyleciał kowal, skarżąc, że dopiero przyjechał ze dwora, i kłął na wieś i na wszystkich.

— Cóż to was znowu ukąsiło?—spytała Hanka, wzierając oknem.

— A co? wstyd powiedzieć, ale trąby są nasze chłopcy i tyła! Dziedzic z nimi, jak z ludźmi, jak z gospodarzami, a te, kiej pastuchy od gęsi! Już się ugodzili z dziedzicem, już wszyscy byli za jednym, a kiej przyszło się podpisywać, to jeden drapie się po łbie i mruży: a ja wiem! drugi powie: baby się jeszcze poredzę; zaś trzeci zaczyna skamlać, abych mu jeszcze dołożył tę przyległą łączkę. I zrób co z takimi. Dziedzic tak się zagniewał, że ani już chce słuchać

o zgodzie, a nawet przykazał nie dopuszczać lipeckiego bydła na leśne paśniki, a kto wpędzi, fantować.

Strwożyli się tą niespodzianą nowiną, klnąc winnych, a swarząc się między sobą coraz zawzięciej, gdy Mateusz ozwał się smutnie:

— Wszystko bez to, co naród pobląkany i zgłupiały, kiej barany, a niema go komu przywieść do rozumu!

— Mało to jeszcze Michał się natłómaczy każdemu?

— Co tam Michał! Za swoim profitem gania i z dworem trzyma, to jużci, co mu naród nie zawierza. Słuchają, ale za nim nie pódą...

Porwał się kowal, gorąco przedstawiając, jako tylko chodzi mu o dobro wsi, jako jeszcze dokłada swojego, bych jeno tę zgodę przeprowadzić,

— Żebyś w kościele przysięgał, a też ci nie uwierzą—mruknął Mateusz.

— No, to niech kto drugi spróbuje, obaczmy, czy poredzi!—wołał.

— Pewnie, że kto drugi musi się zabrać do tego.

— Ale kto? Może ksiądz albo młynarz?—rozlegały się szydlive głosy.

— Kto? Antek Boryna! A jakby i on nie przywiódł wsi do rozumu, to już trza wypiąć plecy na cały jenteres..

— Cóż ja? Któż to me posłucha, co?—jąkał zmieszany.

— Masz rozum, pierwszyś teraz we wsi, to cię wszystkie posłuchają.

— Prawda! Juści! Ty jeden! My pójdziem za tobą!—mówili skwapliwie, ale kowalowi było to cosik nie na rękę, bo zakręcił się niespokojnie, skubał wąsy i zaśmiał się zjadliwie, skoro Antek powiedział:

— Przeciek nie święci garnki lepią, mo-gę i ja poprobować, poredzimy se o tem którego dnia.

Zaczęli się rozchodzić, ale jeszcze ka-zen zosobna brał go na stronę namawiać, przyobiecując pójść za nim, zaś Kłab mu rzekł:

— Nad narodem zawdy musi ktoś górować, co ma rozum i moc i pocziwe ba-czenie.

— A poredzi, jak potrza, i kijem zio-bra zmacać!—zaśmiał się Mateusz.

Rozeszli się, ostał jeno pod oknem An-tek z kowalem, bo Rocho klęczał na ganku, zatopiony w pacierzach.

Długo deliberowali w głębokiej ci-chości.

Że słyhać było jeno Hanke, krzątającą się po izbie; strzepywała pościele, obłócząc w czyste poszewki, to myła się długo, jakby na jakie wielkie święto, a potem, rozczesu-jąc włosy pod oknem, wyczierała na nich co-raz niecierpliwiej, pilnie nadstawiając uszów, gdy kowal zaczął mu cicho odradzać, aby sprawy poniechał, gdyż z chłopami nie trafi do ładu, a dziedzic jest mu przeciwny.

— Nieprawda! Poręczył za nim w są-dziel—rzuciła przez okno.

— Kiej lepiej wiecie, to mówmy o czem drugim...—zły był, jak pies.

Antek powstał, przeciągając się sennie.

— To ci jeno rzeknę na ostatku: pu-ścili cię jeno do sprawy, prawda? zwiążesz się w cudze jenteresa, a wiesz to, jak cię za-sądzą?...

Antek przysiadł z powrotem i tak się srodze zamedytował, że kowal, nie doczekaw-szy się odpowiedzi, poszedł do domu.

Hanka kręciła się kole okna, raz poraz wyglądając na niego, nie dosłyszał, że ozwa-ła się w końcu lekliwie a prosząco:

— Pódzi, Jantoś, pora spać... Utrudzi-łeś się dzisiaj niemało..

— Idę, Hanuś, idę... — podnosił się ociężale.

Jęła się prędko rozdziewać, szepcąc pa-cierz roztrzęsionymi wargami.

— A jak me zasądzą na Syberyę, to co?—myślał frasobliwie, wchodząc do izby.

V.

— Pietrek, przynieś no drewek—krzyk-nęła z przed domu Hanka, rozmamłana by-ła całkiem i omączona przy wyrabianiu chleba.

W szabaśniku huczał już tęgi ogień, przegarniała go raz poraz i leciała obtaczać bochny i wynosić je w ganek, na deskę, ździebko wystawioną w słońcu, bych pręde-j rosły. Zwijala się siarczyście, gdyż ciasto prawie już kipiało z wielkiej dzieży, przy-okrytej pierzyną.

— Józka, dorzuć do pieca, bo trzon je-szczek czarniawy!

Ale Józki nie było, a Pietrek też się nie kwapił z posłuchem, nakładał w podwó-rzu gnój, oklepując czubaty wóz, bych się nie roztrzęsał po drodze, i spokojnie poredzał ze ślepym dziadem, któren pod stodołą wy-kręcał powrósla.

Popołudniowe słońce tak jeszcze przy-piekało, że ściany popuszczały żywicą, pa-

rzyła ziemia, i powietrze prażyło, kiej żywym ogniem, że już ruchać się było ciężko. Mu-chy jeno kręciły się z brzękiem nad wozem, i konie dziw nie porwały postrunków i nóg nie połamały, szarpiąc się i oganiając od ukąszeń.

Nad podwórzem wisiała senna, przy-gniatająca spieka, przejęta ostrym zapachem gnoju, że nawet ptaki w sadzie pocichły, ku-ry leżały pod płotami, kieby nieżywe, a pro-siaki z pojękiwaniem rozwalały się w błocie pod studnią, gdy naraz dziad zaczął srogo kichać, bowiem z obory zawiało jeszcze barzej.

— Na zdrowie wama, dziadku!

— Nie z trybularza wieje, nie, a cho-ciem i tego zwyczajny, ale zawierciło w nosie gorzej tabaki.

— Kto czego zwyczajny, to mu sma-kujel!

— Głupiś, cóżto, łajno jeno wywachu-ję po świeciel!...

— Rzekłem, bo mi się przybaczyło, co tak mi pedział mój dziadźka we wojsku, kiej me przy uczeniu pierwszy raz sprzał po pysku...

— I wzwyczałeś się do tego, co? Hi! hi! hi!...

— Hale, bogać ta, kiej rychło sprzy-krzyła mi się taka nauka, że przycapiłem ścierwę w jakimś kącie i tak mu pysk wy-rychtowałem, jaże spuchnął, niby bania. Już me potem nie bijał!...

— Długoś to służył?

— A całe pięć roków! Nie było się czem wykupić, to i musiałem rużie dźwigać. Jeno zrazu, pókim był głupi, to potyrał mną, kto chciał, i biedym się najadł, ale kamraty me nauczyły, że, jak czego brakowało, tośwa zworowali, abo dała jedna dzieucha, służan-ka, bom obiecał się z nią ożenić! A jak me przeżywały od kartoszków, jak się śmiały z mojej mowy i naszego pacierza...

(DCN)

KONIEC TERORU.

Do krwawych wspomnień Wielkiej rewo-lucji francuskiej przybywa jeszcze jedno. Na-kładem księgarni Louis-Michaud w Pa-ryżu ukazała się książka p.p. Alberta Savine i Franciszka Bournand p. t. *Le 9 Thermidor*, jako pierwszy tom wy-dawnictwa miesięcznego *Collection His-torique Illustrée*.

W pracy tej, opartej na mało znanych dotychczas paniętnikach i do-kumentach archiwalnych, znajdujemy, jak już sam tytuł wskazuje, opis owej chwili przełomowej, w której Konwen-cya, przerażona terorem bezmyślnym, skupia się, zdobywa na odwagę, wy-powiada walkę na śmierć i życie tryum-wiratorowi, złożonemu z Robespierre'a, Couthona i Saint Justa, oraz poplecni-kiem jego.

I.

Rok 1794.

Robespierre, u szczytu potęgi i wła-

dzy, mieszka w domu zamożnego stolarza, Mau-rycego Duplaya.



Robespierre raniony, na stole w sali przyjęć Komitetu ocalenia publicznego.

Ubóstwia go otoczenie, a Konwencya, Pa-ryż, Francya drżą przed nim.

W marcu Hébert, burmistrz Pa-ryża, Pache i Mamoro, w kwietniu wiel-ki Danton, Kamil Desmoulin, Héroult de Séchelles, wszystko ludzie wpły-wowi i głośni—oddają głowy pod nóż gilotyny.

Któż oprzeć się zdoła straszne-mu mówcy jakobinów?

Przedewszystkiem jednak portret jego.

„Proszę wyobrazić sobie—opo-wiada jeden ze współczesnych—czło-wieka dość małego, o kształtach wątych, twarzy szczupłej, czole spłaszczonem z obu stron, jak u zwierzęcia drapież-nego, wargach długich, białych i ści-śniętych, głosie ochryplym w tonach niskich, fałszywym zaś w wysokich, a zamieniającym się w uniesieniu gniewu w pewnego rodzaju szczekanie,



MAKSYMILIAN MARYAN IZYDOR ROBESPIERRE.

podobne do szczekania hyeny. Oto Robespierre. Zwierciadło duszy: spojrzenie posiada u niego trudny do określenia wyraz ostry, wyłaniający się ze źrenicy płowej z pośród powiek, rozciągniętych konwulsyjnie. Spojrzenie to rani za dotknięciem.

Widz zgaduje co najwyżej z drżenia nerwowego, przelatującego członki ruchliwe, z mimowolnego ściągania się mięśni twarzy, nadającego twarzy nagle to wyraz śmiechu, to płaczu, z drżenia palców, grających na desce trybuny, jak na klawiszach szpinetu—że cała dusza tego człowieka ześrodkowała się w uczuciu, jakie pragnie przełać na innych i że, identyfikując się z namiętnością, która go opanowała, może stać się czasem tak wielkim i imponującym, jak ona.

Ale co najbardziej w nim uderza, to zażłość.

— Wszyscy ci—powiada Daunou—którzy zwrócili na siebie uwagę publiczności, byli dla niego rywalami.

„Nazajutrz po zamordowaniu Marata—pisze Courtois w pamiętnikach swoich—odezwał się w korytarzach Konwencji:

— Marat napłodził głupstw niemało, to też czas już było, aby skończył“.

I zapewne skutkiem tego, że Danton i Desmoulins nie śpieszyli się, by „skończyć“, nastąpił na nich uciska swego i apostoła, St. Justa.

Lecz ciągle te mordy i tyrania bez granic przejmują wreszcie grozą najzgorzalszych nawet zwolenników rzeczypospolitej, oprócz, ma się rozumieć, zgrai krwiożerczych sans-culotte'ów, zawsze i wszędzie gotowych do mordów, oraz zaślepionych zwolenników „Nieprzedajnego“.

Co prawda—jak mówi Lamartine—chwila nie wymagała ani światła, ani sprawiedliwości, ani nawet cnoty, tylko woli, lecz u Robespierre'a wola manifestowała się, jako samolubny i zazdrosny despotyzm, gotowy utopić w morzu krwi wszystko, co miało wolę inną, inaczej zapatrywało się na wolność. I, jakkolwiek głosił zasadę, że „ludem trzeba rządzić za pomocą rozumu, a nieprzyjaciółmi ludu za pomocą teroru“, w rzeczywistości rozwydrzał lud i tracił bez miłosierdzia przyjaciół jego, otaczając się legionem przyjaciół o rękach, zwalanych krwią i krzywdą ludzką.

Pewnego dnia wychwalał przed Meillanem niejakiego Desfieux, osobistość brudną, lecz czynną w szeregach robespierystów.

— Ależ ten twój Desfieux—odparł Meillan—to łotr.

— Nic nie szkodzi. Za to jest dobrym patryotą.

— Ależ to bankrut postępnny.

— Ale dobry patryota.

— Ależ to złodziej!

— Ale dobry patryota.

Nie mogłem z niego nic wydobyć—kończy Meillan—oprócz trzech słów powyższych.

Na żądanie Robespierre'a, obojętna dla spraw religijnych, lecz steroryzowana Konwencya uchwala dnia 18 Floreala zakrawający na ironię, znany wniosek, stwierdzający, że naród francuski uznaje istnienie Istoty Najwyższej i nieśmiertelność duszy, tudzież ustanawia święta na cześć tej Istoty.

Głosuje Góra, głosuje, ma się rozumieć, i Bagno za tym wnioskiem, w sercach jednak wielu głosujących tai się jad nienawiści i wżera podejrzeń, że wódz jakobinów tą drogą zmierza ku osiągnięciu dyktatury, stanowiska najwyższego kapłana idei demokratycznej. Nikt wszelako nie odważa się jeszcze na pierwszy krok przeciwko tyranowi, dla ośmielenia się bowiem na krok taki potrzeba, aby niebezpieczeństwo bezczynności stało się większym od niebezpieczeństwa działania.

Nadchodzi atoli chwila pierwszego odruchu wrogięgo: dzień 20 Preriala, w którym po raz pierwszy ma być obchodzone święto na cześć Istoty Najwyższej.

Jako prezes Konwencji na drugą połowę Preriala, Robespierre maszeruje w pierwszym szeregu członków Konwencji. Lecz nagle pomiędzy nim a kolegami jego tworzy się przedział kilku kroków.

— Ta chęć zarozumiła—zauważa Barère—wysuwania się na czoło posłów nie podobała się powszechnie.

— Dla mnie—odpowiada Baudot—nienawiść względem Robespierre'a wytworzyła ten przedział pomiędzy nim a resztą posłów.

„I rzeczywiście—pisze dalej—dawni zwolennicy Żyrondy nie mogli służyć mu za akolitów. Bezpartyjni nie chcieli znajdować się zbyt blisko potwora, Górale uważali za wstrętną całą tę uro-



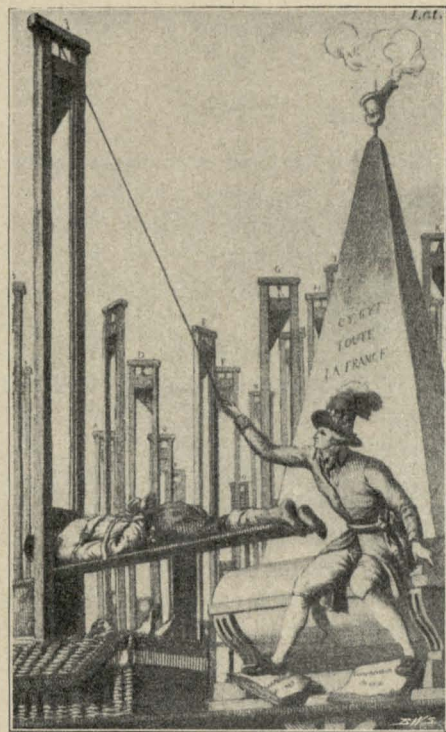
GENERAL HANRIOT.

czystość i rolę kapłana najwyższego. I nie należy mniemać, aby kadzono bogu dnia tego. Sam słyszałem dość złorzeczeń, wygłaszanych tak głośno, że musiały dojść do uszu ofiarnika. Pośród mą a Robespierre'em nie było więcej, jak 8 osób. Słyszałem wszystkie złorzeczenia. Rzucał je Thirion, Montaut, Ruamps, a zwłaszcza Lecointre z Wersalu, który przeszło 20 razy nazwał Robespierre'a dyktatorem, tyranem i groził, że go zamorduje“.

Robespierre udawał, że złorzeczeń nie słyszy, niemniej zachował urazę w sercu.

Jeszcze 19-go Preriala prezes trybunału rewolucyjnego, Dumas, wspomniawszy o projekcie zmniejszenia liczby przysięgłych, uczestniczących w każdym posiedzeniu Trybunału, do 7 i 9. Fouquier, obawiając się, że reforma taka zniweczy zaufanie ogółu do Trybunału, protestował, ale napróżno.

Dnia 21 Preriala tabetyk Couthon odczytuje w Konwencji projekt prawa o środkach dla przyspieszenia wyroków Trybunału rewolucyjnego.



Robespierre, po ścięciu wszystkich Francuzów, gilotynuje kata.

Lecointre i Ruamps protestują przeciwko niemu, jako odbierającemu oskarżonym możliwość obrony, pod wpływem wszelako Barère'a i Robespierre'a Konwencya uchwala prawo.

— Chciałbyś—woła z tego powodu dnia 23 Preriala, na posiedzeniu Komitetu ocalenia publicznego, Billaud do Robespierre'a—uzyskać możliwość zgilotynowania całej Konwencji narodowej! Robespierre zaprzecza temu tak gorąco, że omal nie dochodzi do bójki.

I nastąpiły czasy straszne.

Od 70 do 80 głów ścinała codziennie gilotyna w Paryżu!

Nie dziw tedy, że nadeszła wreszcie dla wybitniejszych członków Konwencji chwila psychologiczna, w której bezczynność stała się istotnie groźniejsza od działania, od spisku.

Vadier, Tallien, Billaud, Bourdon, Rovère i inni, wszystko członkowie Góry, zaczynają energiczną pracę podziemną przeciwko Robespierre'owi. Ale zgnieść go można tylko jawnie, przez wyrok Konwencji, na to wszakże głosy Góry nie starczą. Udają się tedy spiskowcy do Bagna, do tych „ropuch“, istniejących jeszcze w Konwencji dzięki tylko pogardliwej protekcji Robespierre'a, potrzebującego głosów tych posłów steroryzowanych, biernych, niemal upodlonych. Za tę protekcję głosowali, na co chciał, a jeżeli nie pragnęli głosować przeciwko niemu, to opuszczali izbę pod łada pozorem.

A liczono ich jeszcze wówczas—jak pisze D'Héricault—dwustu takich, którzy głosowali swego czasu przeciwko skazaniu na śmierć Ludwika XVI.

„Głowy—mówi o nich Dussault—zimne i powolne, ludzie onieśmieleni i ostrożni pod wpływem błędów, pozbawieni niemal, z powodu długiego milczenia, prawa do zabierania głosu, słyszający wiecznie tylko groźby, posiadający serca skurczone ze strachu, istoty oślizgłe, jeżeli się tak wyrazić można, skutkiem nazwy im danej, ludzie, nauczeni milczenia w szkole niebezpieczeństw największych i pojmujący dobrze, że zwyciężeni nie mają nigdy racji wobec zwycięzców“.

Po długich targach zawarto układ. Zagroźeni górale, mając dosłownie nóż na gardle, obiecali wszystko: otworzyć więzienia, znieść prawa, zasługujące na miano nikczemnych. Przezorne Bagno zobowiązało się natomiast tylko do jednego: oto do zachowania bierności wobec wszelkich przemówień Robespierre'a.

(DN)

ST. BARSZCZEWSKI.

DZIEJOPIS INFLANT.

Pięćdziesiąt lat temu, w numerze gazety *Dörptsche Zeitung* czytano sprawozdanie z koncertu belgijskiego wiolonczelisty Prume'a, skreślone przez świeżo wówczas dyplomowanego kandydata *cum laude* nauk dyplomatycznych wszechnicy dorpackiej, dwudziestopięcioletniego Gustawa bar. Manteuffla.

Był to pierwszy debiut pisarski przyszłego autora „Inflant polskich“, historyka i etnografa zarazem, znakomitego znawcy dziejowo-kulturalnych stosunków Polski z przybaltyckimi dzielnicami, wysokiej erudycji i niestrudzonej pracowitości pisarza, który, władając równie biegle mową niemiecką i łotyską, jak ojczystą, rzec śmiało można: życie poświęcił dziedzinie badań historycznych nad państwowo-kulturalnym związkiem ongi naszym z Inflantami „szwedzkimi“, Kurlandą i Estonią.

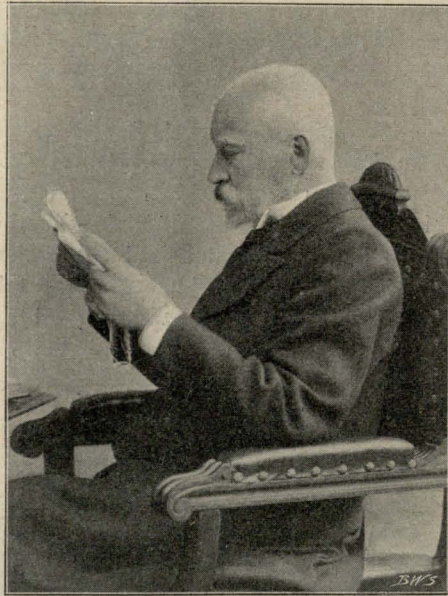
Sam Gustaw bar. Manteuffel stanowi jakby żywą cząstkę tej przeszłości naszej polsko-inflandzkiej. Potomek po mieczu polskiej gałęzi niemieckich prastaro-szlacheckich Manteuffłów, po dziś dzień gniazda swoje w gub. witebskiej mających, a po kądzieli potomek niemniej starożytnego rodu Ryków (de Rueck), których antenaci już za czasów króla Zygmunta Augusta dobra dziedziczne na Inflantach posiadali, urodzony w Drycanach w pow. rzezyckim, spokrewniony z całym klanem polskiego ziemiaństwa witebskiego, z najbliższą arystokracją niemiecką inflandzką i kurlandzką, jak niemniej z mnóstwem najwybitniejszych rodów niemieckich na Litwie, jest do dnia dzisiejszego sędziwy, lecz niewyczerpane wciąż rzeźki i czynny autor „Inflant“ jakby arką wszystkich tradycji dogasającej już, niestety, świetnej i ciekawej epoki.

Wszak-ci to ziemiańska szlachta inflancka (witebska), przejąwszy kulturę czysto-zachodnią, a przyjąwszy indygenat narodowości polskiej, wniosła nam na Inflanty b. Rzeczypospolitej tlejący tam do dziś dnia blask kultury. Związki nowe z przybyłą również w witebskie strony szlachtą czysto polskiej krwi wytworzyły z biegiem czasu niepospolity typ ziemiaństwa naszego, przez długie lata, w dosłownym rozumieniu wyrazu „kwitnący“ na tak zwanej Litwie. Dziś—z dziedzictwa Borchów, Hilzenów, Zyberków, Bohomolców, Felkerzambów, Manteuffłów, Platerów, Romerów, etc. etc. iluż zostało? Zmierzch nastał całej epoki, usuwającej się z wolna, a coraz doszczętniej w monograficzne dzieła i studia takie, jakimi wzbogacił dobytek nasz naukowy skrzętny a doświadczony registrator *temporis acti*—Gustaw Manteuffel.

Studyów, opracowań, sprawozdań, zarysów, opisów, artykułów, objaśnień i t. p. i t. p. napisał w ciągu lat pięćdziesięciu—tak wiele, iż rok temu wypadło uczonemu kierownikowi kurlandzkiego Towarzystwa Literacko-Historycznego, H. Diederichsowi zestawić w specjalnym a obszernym spisie rozumowanym wszystko to, co kiedy wyszło z pod pióra dziejopisa, a zarazem publicysty, etnografa, a zarazem gorącego miłośnika i wytrawnego znawcy sztuki.

W spisie tym, wydrukowanym w ograniczonej liczbie egzemplarzy po niemiecku, w Rydze, zarejestrowanych mamy trzysta przeszło „numerów“, obejmujących prace ściśle historyczne i literackie, ogłoszone w języku polskim, niemieckim i łotyskim (*hochlettische Mundart*). Kapitałem jednak dziełem Manteuffla pozostaną wydane w 1879 r. „Inflanty polskie“ z rzutem oka na średniowieczną przeszłość całych Inflant, praca źródłowa i ceny niezmierniej, dopełniona licznymi ilustracjami, mapami i tablicami. Skreślił w tem dziele autor peł-

ny obraz obecnej (t. j. z przed trzydziestu mniej więcej lat) ziemi witebskiej, opisowi swemu dając mocny i źródłowy podkład historyczny. Dalsze studia nad umiłowanym przedmiotem zubożyły z biegiem lat tekę autorską Manteuffla w znakomite przyczynki i dopełnienia, nad których uporządkowaniem, utworzeniem z nich całości jednolitej pracował nieustannie. Urósł stąd potężny rękopis, obejmujący przeszło siedemset stron *in quarto*, przygotowany do druku, dopełniony mapami, ilustracjami i tablicami, zatytułowany: „Zarysy dziejów dawnych krajów inflanckich“. Ci, którzy mieli sposobność zapoznać się z tem dziełem, wybiegającym daleko poza granice b. Inflant polskich, wysoko podnoszą wartość nagromadzonego w nim materiału historycznego, nie tkniętego dotąd przez dziejopisów. Ogłoszenie drukiem „Zarysów“ zależy od znalezienia wydawcy, któryby mógł jednorazowo pokryć koszty wydawnicze. Wątpliwości chyba nie ulega, że taki się znajdzie.



GUSTAW BARON MANTEUFFEL.

Gdy obchodzono jubileusz 50-letniego kapłaństwa Leona XIII, katolicy prowincji nadbaltyckich wystąpili ze wspaniałym darem. Stanowi on (przechowywany obecnie w zbiorach watykańskich) zbiór 70 tablic. Każda tablica zawiera część opisu wszystkiego tego, co z wyznaniem katolickim i kościołem miało lub ma związek na Inflantach, w Kurlandii i Estonii; każda tablica, malowana z niezmiernie misternym artyzmem, akwarelą, daje cały szereg wizerunków: kościołów, zwałisk, zabytków, etc. etc. Zbiorem wykonaniem tego arcydzieła erudycji i arcyzmu kierował Gustaw Manteuffel, a jeden z ryskich księgarzy wydał album zmniejszonych reprodukcji owych tablic, zatytułowanych „Terra Mariana“. Godzi się podkreślić bezstronność i uznanie niemieckich badaczy przeszłości Inflant, których posiadają np. Ryga lub Mitawa niemało, a którzy jednomyślnie oświadczyli się za powierzeniem pomnikowego dzieła pieczy i wskazówkom uczonego *polskiego*. Już to jedno świadczy o powadze, jakiej zażywa autor „Inflant“ wśród naczelnej inteligencji niemieckiej nadbaltyckiej.

Przypomnijmy współpracownictwo dzisiejszego jubilata w *Słowniku Geograficznym* i *Wielkiej Encyklopedyi Ilustrowanej*, jego cenne „Siły z nad Baltyku“, drukowane długim szeregiem w krakowskim *Przeglądzie Powszechnym*, artykuły krytyczne w *Kwartalniku Historycznym* lwowskim, monogra-

fie historyczne Dorpatu, Wolkenberga, Krasławia, tumu w Rydze, Dynaburga, Krzyżborka, Felina, Piltyna etc. etc. W ciągu lat ostatnich nie było wydawnictwa historyczno-archeologicznego, dotyczącego specjalnej niwy, uprawianej przez Manteuffla (członka krakowskiej Akademii Umiejętności), w któremby on pośrednio nie brał udziału, służył chętną, a jak najsumienniejszą radą, pomocą, wskazówką.

Na stałe miejsce pobytu obrał sobie—a trafnie—Rygę, stare, pełne pamiątek, kulturalne od niepamiętnych czasów miasto ongi hanzeatyckie. Zżył się z Rygą—ona też zżyła się z Gustawem Manteufflem. Nikt chyba dziś może nie zna lepiej nie tylko dziejów Rygi wogóle, każdego jej zakątka, ale i dziejów omal że nie trzech ostatnich pokoleń polskiej kolonii ryskiej. Zmieniały się czasy, zmieniali się ludzie, a Gustaw Manteuffel witał nowoprzybywających, dzielił z nimi dołę i niedolę i żegnał rozpraszającą się drużynę, sam on tylko, naprawdę *stały*, jakby wrosły w staroświeckie miasto, Ryżanin. Coraz mu tylko więcej przybywało—przyjaciół, pupilów i—wspomnień...

Aż i nagromadziło się tych wspomnień, tych pamiątek! Smyki szkolne, od których co niedziela „po mszy“ huczały zawałone książkami, pamiątkami, dziełami sztuki pokoiki na Grosse Schlosstrasse, powyrastały na „ojców rodzin“, ojców tych oto dorodnych „politechnikarów“, których nową seryę znów Gustaw Manteuffel przygarnia do siebie słowem serdecznym, duszą młodzieńczo-gorącą, powagą wiedzy głębokiej i wielkiem ukochaniem narodowej przeszłości naszej, „górnjej i chmurnej“. I pamięć Gustawa Manteuffla, zawsze świeża, zawsze niespożyta, wszystko obejmie... tylko już chyba zmieścić i objąć nie mogą przybywających wciąż pamiątek iście muzealne pokoiki, w których upłynęło czynne, zbożne, pracowite, pożyteczne życie.

Z ryskiego *tusculum* swego utrzymuje jednak Manteuffel stałe i ożywione stosunki ze światem głównie naukowym polskim i zagranicznym (jest członkiem licznych towarzystw i instytucji naukowych); rok rocznie spędza miesiące parę na wsi w witebskich stronach; chętnie bierze udział w zjazdach i kongresach, np. krakowskich lub poznańskich, żywo interesują go wypadki polityczne i społeczne, aczkolwiek sferą niemal wyłączną jego bezpośredniej działalności pozostały: wiedza ścisła i sztuka. Autor „Inflant“ jest niepowszednim znawcą i miłośnikiem muzyki; niektóre kompozycje jego fortepianowe zyskały uznanie wśród najbardziej melomanów, a gra jego na fortepianie ma cechy wcale nieprzeciętnego wirtuozostwa. Krótkie też wczasy swoje poświęca historyką za zwyczaj—muzyce lub podróżom.

Pod datą jubileuszową kreślimy tych słów kilka, pozdrawiając *pięćdziesięciolecie* pracy i działalności pisarskiej, która piśmiennictwu naszemu i nauce rzetelne a trwałe oddała usługi. Pracę tę cechowały zawsze: nieposzlakowana gruntowność, wysoka kulturalność rozwijanych poglądów oraz wielkie umiłowanie ojczyzny. Praca ta dorzuciła do skarbcza nauki polskiej cały szereg uwidoczniomych, a niezbitych faktów, z którymi liczyć się będą zawsze swoi i obcy. Parafrazując znane słowa Heinego, wyrazić się wolno, że, wymieniając najdosłowniej brzmiące imiona zasłużonych Polaków, nie ominie nikt imienia: Gustawa Manteuffla.

Cześć i wdzięczność narodu swego ma zapewnione.

CZESŁAW JANKOWSKI.



WALNY ZJAZD TURNVEREINÓW. POPISY W PABIANICACH. Fot. „Rembrandt”.

Niemieckie „sporty” na ziemi polskiej.

W okresie przeżywanym przez nas nadzwyczajności dziejowych widzimy fakty istotnie nadspodziewane. Kiedy na społeczeństwo polskie wała się bez przerwy represje za represjami, kiedy zamknięto nam Macierz szkolną, Sokolów i wiele innych najspokojniejszych instytucji, a życie społeczne straciło jawne placówki legalnych organizacji—w Królestwie Polskiem cieszą się jak największymi swobodami i przywilejami członkowie narodu, który w pismach i książkach publicznie zapowiada podbój połowy państwa rosyjskiego!

Niemcy w Królestwie Polskiem cieszą się dziś większymi prawami i przywilejami od samychże Rosyan w swoim własnym państwie. Rosyanom tamuje się rozwój oświaty, w rękach prywatnych towarzystw pozostającej, w Łodzi niemiecki *Schulverein* posiada jak największy kredyt u władz administracyjnych; w Rosji utrudniają Rosyanom wydawanie pozwoleń na noszenie rewolweru w celach obrony własnej, w obwodzie łódzkim za to Niemcy liczą cały szereg *legalnych* towarzystw nie myśliwskich, lecz strzeleckich!

Przywileje, jakimi cieszą się Niemcy w Królestwie Polskiem, nic dziwnego, dają ruchowi pangermańskiemu coraz to widoczniejsze rezultaty. W jednym tylko obwodzie łódzkim ruch turnistów niemieckich wyraża się już w 14 stowarzyszeniach gimnastycznych, liczących tysiące członków.

Jak wiadomo, czasowo, z powodu stanu wojennego, *Turnverein'y* ulegały chwilowemu zawieszeniu „pracy”, były jednak niezwłocznie otworzone, pod tym wszakże warunkiem, że żaden Polak do stowarzyszeń tych przyjęty być nie może.

Mamy więc do czynienia z instytucjami *par excellence* germańskimi, i, jeśliby od tego charakteru nawskroś niemieckiego w czemkolwiek odstąpićby miały, byłyby natychmiast przez władzę zamknięte; powtamy, Polacy pod żadnym pozorem, w myśl rozporządzeń władzy, do towarzystw tych przyjmowani być nie mogą!

I oto pięknie rozwijające się związki sokolstwa

Gilden), lutnistów (*Gesangvereiny*), a nawet i chóry niemieckie kościelne.

Tak więc w Pabianicach odbył się generalny przegląd sił zorganizowanych Niemców na ziemiach naszych. Ogółem zjechało ni mniej ni więcej tylko—2,000 delegatów instytucji germańskich!

Kulminacyjnym punktem tego trzydniowego zjazdu — pisze korespondent łódzki *Kuryera Warszawskiego*

— był pochód stowarzyszeń, urządzony przez miasto przyudziale tysięcy osób. Członkowie stowarzyszeń gimnastycznych, oraz strzeleckich byli w *kostymach z czarnymi krzyżami na piersiach* (przypominali Teutonów!), sztandarów niesiono siedem. Na czele pochodu maszerowała orkiestra narodowa stowarzyszenia „Stella”, *grając pieśni niemieckie!*

Z taką paradą przeciwnym przez kilka ulic, pochód udał się do ogrodów w Górcie Pabianickiej, gdzie odbyły się najpierw ćwiczenia gimnastyczne, a potem zabawa. Ćwiczeniami kierował p. Hromadko, komendant *Turnverein'ów* na okrąg łódzki (*Lodzer Kreise*). Wśród zgromadzonej publiczności niemieckiej entuzjazm panował olbrzymi, a w porywach zachwytu niejednokrotnie intonowano pieśni narodowe, witane okrzykami nie milknącego: *Hoch!*

W czasie bankietu zjazdowego, prasa podkreśla jeden z licznych toastów, streszczający się w podniesieniu znaczenia takich kongresów i takich stowarzyszeń, „*ponieważ budzą one ducha wśród osiadłych w Królestwie Niemców i przyczyniają się do podtrzymania solidarności, broniąc Niemców od asymilacji z polskim społeczeństwem!*”

Ten kongres nie zakończył się jednak tylko na toastach nacyonalistycznych. Zebrani uchwalili utworzenie w Łodzi centralnego związku gimnastycznego na



POPISY TURNVEREINU W PABIANICACH.

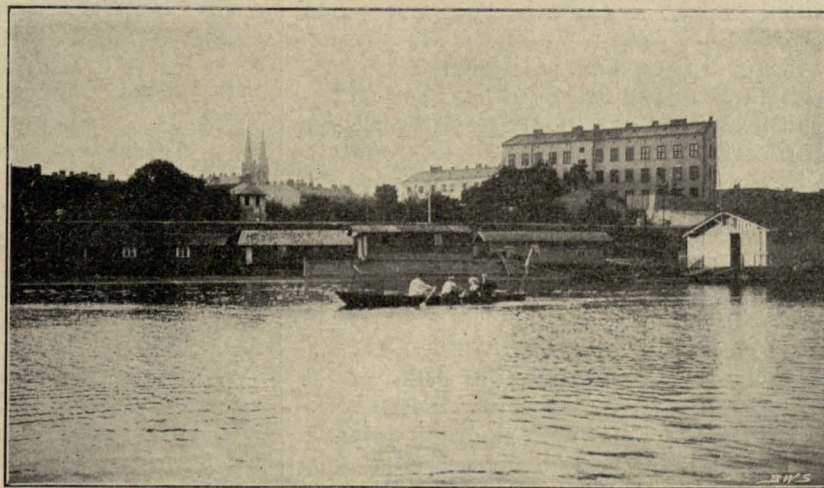
niemieckiego u nas zapragnęły urządzić wielki manifestacyjny zjazd *Turnverein'ów* nie tylko z Polski, ale z całego państwa rosyjskiego.

Z okrzykami „*Willkommen*” sproszono do Pabianic, pod Łódź, wszystkie pokrewne stowarzyszenia z Odessy, Rygi, Moskwy i t. d.

I, aby zjazd uświetnić, do gimnastyków postanowiono przyłączyć stowarzyszenia strzeleckie (*Schützen-*



WIOŚLARZE NIEMIECKIEGO YACHT KLUBU W WARSZAWIE.



YACHT KLUB NIEMIECKI W WARSZAWIE.

Fot. Ł. Dobrzański.



LUDWIK SOLSKI.



IRENA SOLSKA.



WYSOCKA.



JÓZEF SOSNOWSKI.



ORDON-SOSNOWSKA.



SOBIESŁAW BYSTRZYŃSKI.



JERZY LESZCZYŃSKI.

całe państwo. W miastach, w których się zbierze 15 członków, mają być tworzone oddziały. Na dowódcę (generalissimus!) wszystkich tych korporacji ma być wybierany mąż szczególniejszego zaufania (sic!). Jednocześnie uchwalono, aby instruktorów dla stowarzyszeń sprowadzać wyłącznie z Prus!

Sądźmy, że o więcej nieprawdopodobne, a jednak prawdziwe szczegóły tego zaiste niepospolitego zjazdu—trudno. Streszczają one w sobie wszystkie zamiary nie tylko separatystyczne, ale demaskują misternie przygotowywaną „robotę” polityczną o szerokim haśle *Drang nach Osten*.

Nie wątpimy, że w czasie najkrótszym żywożą działalność swoją rozpoczną owe związki nie tylko już na gruncie ziemczonoego obwodulódzkiego (*Lodzer Kreise*), ale życie niemieckie niebawem zakwitnie już tu, u nas, w Warszawie.

To życie zresztą rozwija się w stolicy naszej nie od dzisiaj.

Warszawa liczy dziesiątki stowarzyszeń niemieckich, o których ogół nasz mało, raczej wcale nie jest informowany.

Któż z Warszawiaków przeciętnych wie naprzykład, że pod komendą niemiecką od lat z górą 30 szubują po fali naszej Wisły łodzie tutejszego *Warschauer Yacht Clubu*!?

Któż wie, że ów „Club”, grupując nacyonalistycznie usposobione żywoży, od początku świetnie się rozwijał, posiadał elegancką siedzibę nadbrzezną, wystawioną z drzewa w stylu willi morskiej, z obszernym tarasem, ogrodem (od strony Pragi), kregielnią i *strzelnicą*!?

Ten *Yacht-Club* urządzał regaty i był przez długi czas panem rządzącym wiośłem na Wiśle, bo na towarzysztwo polskie długo pozwolić nie chciano!

Warschauer Yacht Club po dziś dzień istnieje w stolicy naszej, a przy ul. Miodowej 4 posiada nadto własny lokal zimowy i niedawno jeszcze zastanawiał się, czy żądać posła niemieckiego z Królestwa.

Powstanie *Turnverein*ów w Warszawie wzmocni niewątpliwie jeszcze owego ducha odporności, o którym tyle mówiono na zjeździe niemieckim w Pa-bianicach pod Łodzią. SGR.

Teatr krakowski.

Teatr krakowski zakończył swój sezon dziesięciomiesięczny, a drużyna artystyczna „rozplynęła się” już to na dobrze zasłużony spoczynek letni, już też na wędrowkę, zwaną popolicie „występami gościnnymi”. Poważny dramat ustąpił w dniu tym miejsca zlekka podkasanej muzyce lwowskiej operetki i opery, ogołoconej starannie z „gwiazd” sezonowych i przystosowanej do wywozu, jak typowy „Exportwaare” niemiecki...

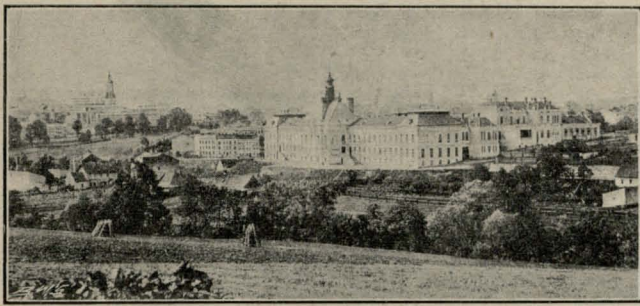
W takiej chwili przełomowej dla życia artystyczno-teatralnego Aten nadwiślańskich, kiedy jeden sezon przeszedł do historii, a drugi dojrzewa dopiero w słonecznej krainie artystycznej fantazyi dyrektora, reżysera i innych powołanych do tego mężów, godzi się poświęcić nieboszczykowi dłuższy nekrolog, boć przecie stanowi on w życiu kulturalnym najkulturalniejszego z polskich środowisk etap ważny, szereg zjawisk godnych uwagi.

Z dwóch scen na ziemiach polskich, na których sztuka narodowa może przemawiać bez wszelkich zewnętrznych, mechanicznych niejako przeszkód, teatr krakowski jest niewątpliwie pod względem kulturalnym posterunkiem ważniejszym i szanowniejszym, niż stołeczny — lwowski. Składają się na to wielorakie i różnorakie przyczyny. Kraków jest przede wszystkim narodowo-jednolity, podczas gdy Lwów jest etnicznie pstry i nierównoważony. Kraków ma wielkie tradycje kulturalne, podczas gdy Lwów wyrabia je sobie dopiero mozolnie, z wytrwałością godną pochwały najwyższej, ale nie zawsze szczęśliwie. Kraków jest miastem uboższem w parweniuszowski kapitał, który wymaga do swej rozkoszy tryłów, waty i t. zw. symfonii ga-

zy różnobarwnej dokoła nówek w obcisłych trykotach. Lwowowi dostarczają takiego kapitału stosunkowo dużo kopalnie nafty poblizkie, banki i wogóle ta koncentracja życia zbiorowego, która jest właściwa stolicom administracyjnym wielkiego kraju. Stąd pochodzi, że teatr lwowski zmuszony jest do zadowalania najrobieźniejszych gustów i wymagań, okazuje mocną skłonność do kompromisowej—operetki i farsy, podczas gdy teatr krakowski, wolny od tych wszystkich służebności, pracować może jednolicie i systematycznie, rekompensując brak operowej wystawności i blasku szlachetną dążnością do coraz wyższych poziomów artystycznych.

Zjawisko to w teatrze krakowskim jest tak stałe, że stało się jego niezmienną, zasadniczą niemal cechą. Wszystko jest tu nastroione o kilka tonów wyżej w skali wymagań artystycznych i publiczności, i krytyka, i aktorzy, i dyrektor. Różnice między Lwowem a Krakowem są tak wielkie, że, gdy we Lwowie w ubiegłym sezonie nie grano Wyspiańskiego dramatów, zdaje się, ani razu, to ze sceny krakowskiej rozbrzmiewały one 24 razy... Stwierdzono już niejednokrotnie, i to doświadczalnie, że, nad czem w Krakowie się unoszą, nad tem we Lwowie ziewają—i na odwrót...

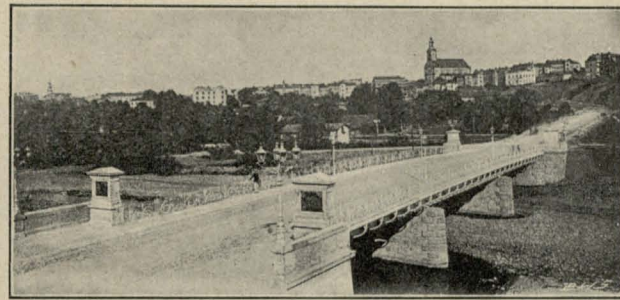
Dotychczasowa (trzyletnia) dyrekcyja p. Ludwika Solskiego umocniła znakomicie tę zasadniczą cechę teatru krakowskiego. Zamiast długich wywodów pozwólmy mowie cyfrowej: oto na ogólną liczbę 331 przedstawień w zakończonym sezonie było 202 przedstawień oryginalnych sztuk polskich, z czego znowu 30 premier oryginalnych, a 23 poważnych, przeważnie klasycznych wznowień. Z premier, wystawionych w ubiegłym sezonie w Krakowie, zasługują na wyróżnienie przede wszystkim „Leleweł”, „Meleager”, „Zgon Barbary Radziwiłłówny” Wyspiańskiego, „Lady Godiva” Staffa, „Krakus” Norwida (grany w 25 rocznicę śmierci wielkiego poety), „Car Samozwaniec” Nowaczyńskiego i wiele innych. Z premier obcych, których sprawozdanie teatru wylicza 22, wymienić na naczelnem miejscu należy „Cyda”,



CIESZYN, WIDOK OGÓLNY.



DOM NARODOWY W CIESZYNI, przed którym rozegrały się gwałty niemieckie.



CIESZYN, MOST CESARZA FRANCISZKA JÓZEFA.

w tłumaczeniu Wyspiańskiego, „Gdy umarli obudzimy się“ Ibsena, „Ojca“ Strindberga, „Źródło“ Braccha i „Chmury“ Arystofanesa w znakomitym przekładzie Ciągłowicza.

Najlepsze jednak pojęcie o poziomie kulturalnym, na którym się teatr krakowski w sezonie ubiegłym znajdował, daje następujące zestawienie: w ciągu omawianego sezonu poświęcono Słowackiemu 12 przedstawień, Mickiewiczowi 6, Wyspiańskiemu 24, Fredrze 15, Szekspirowi 15, Ibsenowi 12, Corneillovi 20, Arystofanesowi 8. Kto zna stosunki krakowskie w ogólności, a galicyjskie w szczególności, temu te cyfry dużo pochlebne o teatrze krakowskim powiedzą.

Poziomowi repertuaru odpowiadała stale poziom wykonania. Personel teatru krakowskiego nie posiadał t. zw. „gwiazd“, to jest znakomitości aktorskich, wybijających się ponad typ przeciętny, do jakiejś mniej lub więcej nieprawdopodobnej wysokości. Natomiast ma on inną zaletę, bez porównania cenniejszą. Jest nią znakomity zespół. Mówiąc o artystach teatru krakowskiego, niepodobna pytać, którzy z nich są najlepsi. W decydującej chwili każdy aktor krakowski, wchodząc na deski sceny, staje się najlepszym. Jest to wybornym dowodem znakomitej reżyserii, która w działalności swej przejęła się nawskroś tą nowożytną zasadą, że na scenie działa nie gra indywidualna, ale zespół. Mistrzem takiej sztuki reżyserskiej jest sam dyrektor, p. Ludwik Solski. Z pod jego wytrawnej ręki młode, surowe jeszcze talenty wychodzą od razu na doskonałych artystów, wdrożone do pracy nad szczegółami najdrobniejszymi, przyzwyczajone do poświęcenia w każdej chwili swej osobistej ambicji artystycznej na rzecz efektu całości. Dzięki temu obraz na scenie krakowskiej odznacza się harmonią, logiką części i tem subtelnym stonowaniem kolorów, które wyklucza wszelkie przejawy przesady, wszelką tak zw. „szarżę“. Nawet najprymitywniejszą farsę, którą napisano jakby rozmyślnie dla szarży i przejawów aktorskich, umieją w Krakowie zagrać tak dyskretnie i wytwornie, że sama sztuka nabiera w tej grze pewnej szlachetności.

Obok Solskiego, jako pierwszorzędną siłę, wymienić należy p. Irenę Solską, artystkę o wysokiej inteligencji i intuicji. Scena krakowska zawdzięcza jej szereg kreacji wprost wzorowych pod względem szlachetności rysunku, bogactwa i harmonii szczegółów.

Pani Wysocka znowu, jako odtwórczyni kobiet Ibsena, jest w Polsce chyba jedyna. Głęboki, właściwy tej artystce ton tragizmu, wysoka zdolność psychologicznego traktowania roli i wydobycia z niej tych tajemniczych, cichych akcentów i niedomówień, w które tak bardzo obfituje Ibsen, czynią p. Wysocką siłą artystyczną wprost nieocenioną.

Niemniej nieocenioną dla rozwoju sceny krakowskiej parą małżeńską i artystyczną są pp. Sosnowscy. On dysponuje rozległą bardzo skalą środków i akcentów, od subtelnej liryki do grzmiącej heroiki, i poważnym zapasem doświadczenia scenicznego. Pani Sosnowska (Ordon) jest mistrzynią w rolach kobiet dramatu i komedii mieszczańskiej. Niezwykle ujmująca powierzchowność, widoczny od pierwszego wejrzenia talent i wielka pracowitość składają się u tej artystki zawsze na kreacje żywe i skończone.

Wzmianką o wysokim i bardzo szlachetnym talencie komicznym p. Bończy muszę zamknąć ten bardzo zresztą niecisły i niezupełny przegląd sił artystycznych teatru krakowskiego, wśród których przeważa-

ją talenty młode wprawdzie jeszcze i troskliwej opieki wymagające, ale tak silne, że niewątpliwie zająsną niebawem pierwszorzędnym blaskiem. △

Gwałty niemieckie w Cieszynie.

Spoleczeństwo polskie jawnych gwałtów buty niemieckiej doznawać zaczyna nie tylko już pod panowaniem rządu pruskiego, ale nawet pod zaborem austriackim, w Księstwie Cieszyńskim.

Końcowe dni czerwca upamiętniły się w historii naszej niebywałą napaścią Niemców w Cieszynie. Pisma nasze zamieściły natychmiast depesze z informacjami o zajściach, przejmujących do głębi oburzeniem.

Oto uczestnicy wycieczki zbiorowej z pośród krakowskiej młodzieży uniwersyteckiej narodowej, pomiędzy którą znajdowało się też wielu studentów z Królestwa, stali się podczas pobytu na Śląsku austriackim ofiarami szowinizmu niemieckiego, posuniętego aż do zbrodni. Po drodze do Cieszyna mieli już zajście w Bielsku, gdzie przyszło do starcia z policją, która zabroniła młodzieży śpiewać po polsku na ulicy. Uczestnicy wycieczki wysłali stamtąd zaraz telegram z zażaleniem do Koła polskiego w Wiedniu.

W Cieszynie było jeszcze gorzej. W niedzielę Niemcy rzucali na przechodzących studentów petardami, kamieniami, a nawet strzelali do nich. Policja, złożona z Niemców, mimo to zachowała się obojętnie.

Wysiłkom młodzieży udało się jednak, pomimo takiego oporu ze strony Niemców, urządzić w mieście wspaniałą demonstrację polską z orkiestrą i śpiewami. W starciu jednego studenta zraniono kamieniem w głowę, a drugiemu kulą rewolwerową przestrelono rękę. Nadto kilku uległo oparzeniu od petard.

O krwawem tem zajściu niedzielnym studenci zawiadomili namiestnictwo w Opawie i powtórnie Koło polskie.

Nie zapobiegło to jednak ponownemu krwawemu starciu tego samego dnia wieczorem.

Oto na Rynku cieszyńskim przed polskim Domem narodowym w ponownej krwawej bóje padło dwóch

naszych studentów, ciężko rannych, ale i Niemców okazało się wielu pokaleczonych.

Zmobilizowano całą policję i żandarmeryę cieszyńską, która naturalnie stanęła w obronie Niemców.

Posłowie polscy w parlamencie wiedeńskim wobec podobnego stanu rzeczy poczynili najenergiczniejsze kroki, aby na przyszłość przeszkodzić podobnym gwałtom niemieckim.

Na uwagę zasługuje, że posłowie, dr. Głabiński i ks. Londzin, między innymi wystąpili z interpelacją również do ministra oświaty w sprawie udziału uczniów niemieckich szkół średnich w Cieszynie w gwałtach, popełnionych na ludności polskiej dnia 28 czerwca. Interpelacja wskazuje, że uczniowie niemieckich zakładów naukowych, a zwłaszcza niemieckiej szkoły realnej w Cieszynie, od 11 lat, we wszystkich demonstracjach politycznych biorą udział, noszą odznaki niemiecko-narodowe, a nawet są podburzani przez dwóch profesorów szkoły. Uczniowie ci wyszydzały ludność polską 28 czerwca i obrzucili ją zgniętymi jajami. Interpelanci żądają od ministra użycia wszelkich środków, aby ustała agitacja wszechniemiecka wśród uczniów niemieckich szkół średnich w Cieszynie, zwrócona przeciw spokojnej ludności polskiej.

Istnieje nadzieja, że stanowczem zachowaniem się posłowie nasi wpłyną na pohamowanie zwierzęcych uczuć wszechniemieckich „działaczy“ w Księstwie Cieszyńskim. Ale poszkodowań, jakie odnieśli studenci polscy, my łatwo nie zapomnimy przywódcom gwałtów pangermańskich metod rzucania się na bezbronnych. S.

Przygody Don-Kichota.

Spotkałem wczoraj Don-Kichota.

Bardzo się zestarzał, od czasu kiedy go ostatni raz widziałem—zdaje się, że pięćset lat temu.

Był jeszcze chudszy. Nos mu się wydłużył w dziób nieledwie bociani, miał na sobie swój odwieczny, olbrzymi płaszcz, chromał na lewą, cieniutką nogę, a prawa ręka spoczywała mu na temblaku.

— Jak się masz, stary! — zawołałem, patrząc troskliwie na jego braki. — Co, znowu cię pobili?

Uśmiechnął się melancholijnie, a słodko.

— Biją mnie tak już pięćset lat, a jak niektórzy powiadają, nawet tysiąc, czy dziesięć tysięcy.

— Fiuuu!...— gwizdnąłem przeciągle. — Biedaku! cóż ci do głowy przyszło przyjeżdżać do nas?

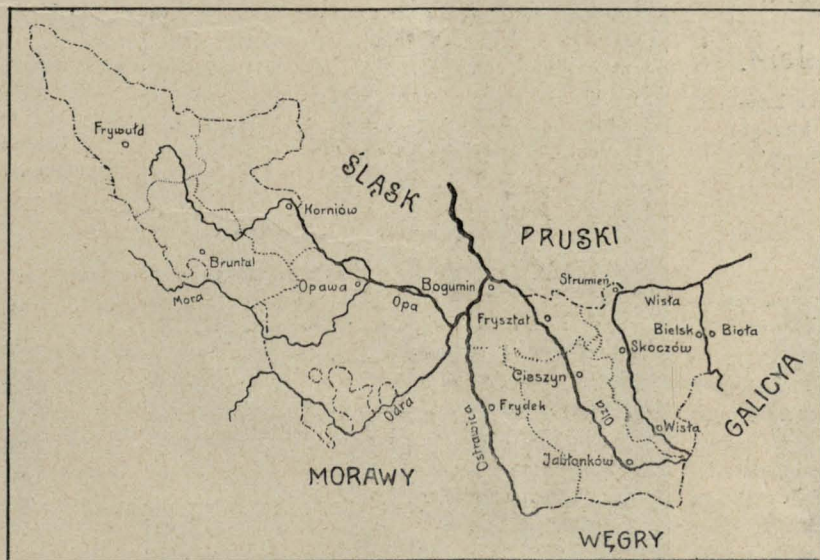
Małe oczki Don-Kichota błysnęły, i nagle z podziwieniem ujrzałem, że stały się wielkie, czarne, rozgorzałe...

— A dokądże miałem przyjeżdżać, jak nie tutaj! Tylu tu mam kuzynów, że doprawdy jestem, jak u siebie w domu.

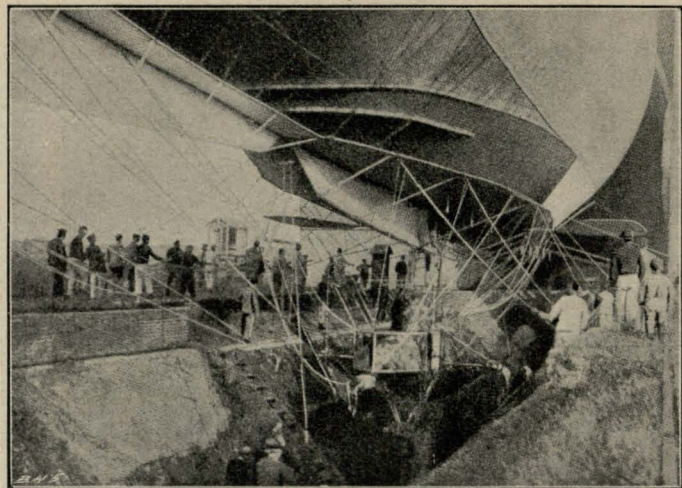
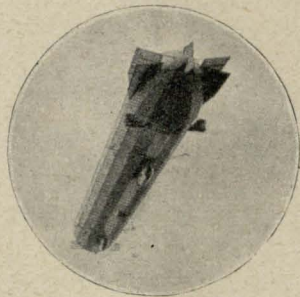
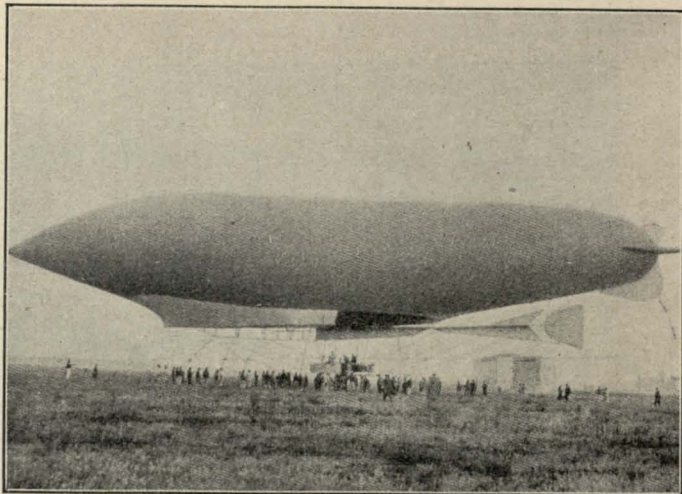
— Zapewne, zapewne... Ale przecież codziennie cię biją. Widziałem cię wczoraj z podbitym okiem, onegdaj z plastrzem za uchem, przedonegdaj z przetrąconym nosem, a przed-przedonegdaj nosiłeś wyraźne rany od kajdan na rękach i nogach, po raz ostatni pięć setlat temu?

— Skądże wiesz o tem, kiedy mnie nie widziałeś?

— Ii... domyślałem się oddawna, żeś musiał do nas przyjechać... Każdy polski artysta, każdy społecznik, każdy filozof opowiada, że cię widział, rozmawiał z tobą.. Kilku nawet wydawało się, że są prosto tobą, że wcieliłeś się w ich dusze...



MAPKA ŚLĄSKA AUSTRIACKIEGO.



NOWE PRÓBY WZLOTÓW UDOSKONALONEGO BALONU ZE STEREM „LA PATRIE“.

— To zupełnie możliwe... Lubię takie rozrywki. Kiedy wystawiam nową rzeźbę na waszych wystawach, nowy obraz, nową sztukę teatralną, albo wypuszczę w świat powieść, dzieło muzyczne, poemat, czy satyrę, to wydaje mi się, że jestem w Hiszpanii i pędzę ze spuszczoną przybicią i nastawioną kopią na stado baranów. Bardzo miłe wspomnienie.

— Masz humor, mój stary! A jakże krytyka się odzywa o tobie?

Don-Kichot roześmiał się, chyba pierwszy raz w życiu.

— Wiesz, że wiele przeszedłem, wiele głupstw widziałem w życiu, ale takich...

— Cicho, cicho... przestań! Ty jesteś nieśmiertelny, tobie się nic nie stanie, choćby ci nawet głowę ucieli, ale ja... ja muszę się liczyć z tyłoma względami, jeszcze kto posłysz, że z tobą rozmawiam...

Zaszumiło coś koło mnie. Postać Don-Kichota wydłużyła się, jak topola, oczy jego spojrzwały wysoko, jak dwie latarnie morskie.

— Nędzny...— wyszeptał świszczącym szeptem. Uczułem się małym, strwożonym dzieckiem.

— Nie odchodź!— jęknąłem błagalnie.

— Nie odejdę, bo mam litość nad tobą—grzmiał głosem olbrzymim.—Lecz pamiętaj, że, gdyby mi kiedykolwiek przyszła ochota wcielić się w twoją duszę, musisz być taki, jak ja, sam jeden stawać przeciw tłumom, sam jeden burzyć zło, sam jeden walczyć ze społeczeństwem i tym jadem, co społeczeństwo to dachem niewoli nakrywa, sam jeden uchwycić musisz ten dach, jak Samson, i leż pod gruzami, ha!—sam jeden wejść musisz, wcielić się w ospałość dusz innych i iść z nimi po zwycięstwo, po miłość, po potarganie wszelkich więzów nad słabymi, bezbronnymi...

— Panie mój!—krzyknąłem, rzucając się na kolana.

— Da chto eto? pasport u was jeść? — słyszę nagle nad uchem.

Zrywam się przerażony. Stójkowy już trzyma za kark Don-Kichota. Ten broni się—rycerz. Słysząc bicie, łomotanie...

Znowu go biją, jęknąłem z cicha i—uciekłem.

Usłyszałem za sobą straszny, szyderczy śmiech...

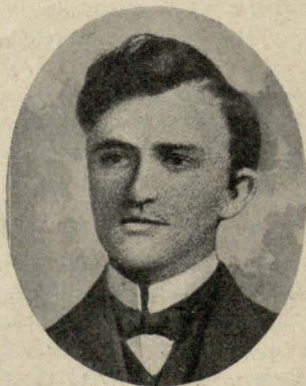
META.

Zabójca namiestnika przed sądem.

Przed trybunałem sprawiedliwości stanął we Lwowie młody anarchista, Mirosław Siczynski, którego ręce zbryzgały się morderstwem. Sąd przysięgłych, powoławszy liczny zastęp świadków, rozpatrywał czyn ohydny niedawnego jeszcze studenta uniwersytetu lwowskiego i przestępcę uznał winnym powieszenia.

Rozprawy sądowe, jakie w ciągu dni paru toczyły się w stolicy Galicji, zwróciły uwagę całego świata cywilizowanego. Dzienniki

Mirosław Siczynski, zabójca namiestnika.



wszystkich krajów poświęciły procesowi wyczerpujące korespondencje.

Nie powtarzamy więc znanych szczegółów, drukowanych w gazetach.

Podkreślić należy głównie fakt niebywałego zachowania się podsądnego Siczynskiego. Szowinizm

hajdamacki w zabójcy zniszczył wszelkie uczucia ludzkie.

Ani jednego odcienia żalu z powodu ohydny przestępstwa, ani krzty skruchy, wobec majestatu sprawiedliwości.

Siczynski stał przed sądem, wcielając się w rolę trybuna-obrońcy, który przychodzi pochwalić własne czyny.

n.

Nad chłopską mogiłą.

Przed dziesięciu laty zjawił się w Galicji nieznanemu nikomu, dziwny człowiek bezdomny. Robotnik-tulałacz—o twarzy niezwykle inteligentnej i smutnej. Wędrował po kraju, jakby szukając źródła dla spragnionej duszy. Gdziekolwiek zasłyszał o człowieku idei, o społecznej pracy, tam zwracał pielgrzymią drogę.

Szły za nim szept domysłów, czasem niedowierzania, czasem zaś, a później—zawsze, serdeczna miłość spotykanych ludzi.

Nawet najbliżsi niewiele wiedzieli o jego przeszłości. Wiedzieli, że wzrósł w otoczeniu obcom polskości. Żył, jak żyją tysiące Polaków w atmosferze rosyjskiej. Miał stanowisko, rodzinę, przyszłość prostą przed sobą...

Aż oto nagle przyszło przebudzenie. Kto odgadnie, jaką drogą? Może ta sama targnęła nim siła, która gna ptaki wędrowne znów ku ziemi ojczystej—w przecuciu wiosny?

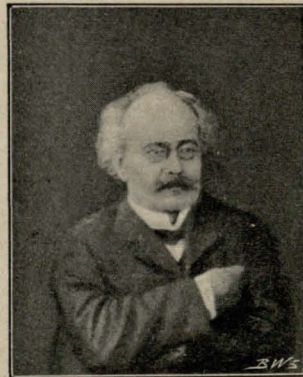
A może Rycerz z Północy, pędząc—już wtedy wołał: „Kto ma duszę, niech wstanie!”

Wstał—i pięta życia zerwał. Spalił za sobą mosty powrotu, zmienił nazwisko.

Odtąd rozpoczęło się jego twarde, ciężkie, piękne życie. A zaczął je, jako prosty robotnik.

Los zetknął go z ś. p. Sewerem Maciejowskim i Kazimierzem Odrzywolskim, i ci ludzie bez skazy, promienni Ideą polską, dali jego łaknącej duszy chleb żywota.

A kiedy nie stało już Szczepanowskiego i Odrzywolskiego, za ich przykładem jął pracować w szybie naftowym. Pod bluzą robotniczą nosił poezję wieszczów i Szczepanowski i e g o „Ideę polską”, książki, zasmolone ręko pracy. Zaprawdę, książki takie będą kiedyś relikwią! Pra-



Jan Adamowicz-Piliński.



Biust Andrzeja hr. Potockiego, świeżo wykonany przez art. rzeźb. Antoniego Szczygielskiego.



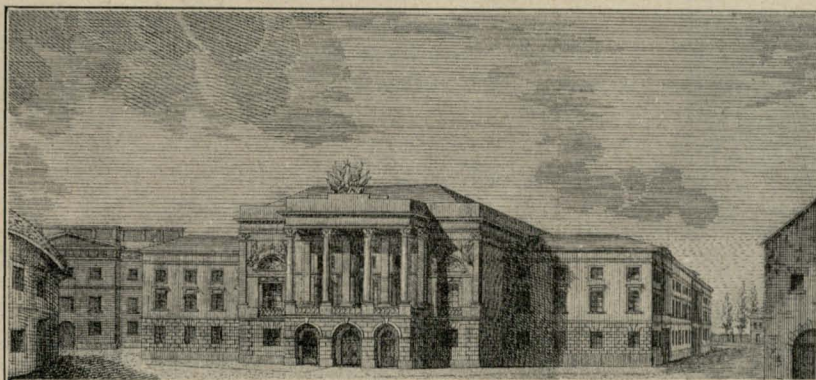
Gmach sądu krajowego karnego we Lwowie, miejsce rozpraw nad zabójstwem namiestnika Potockiego.



Dr. Konstanty Lewicki, obrońca zabójcy.



JÓZEFA hr. MOSTOWSKA.



PAŁAC hr. MOSTOWSKICH.

Dawne pałace warszawskie.

PAŁAC HR. MOSTOWSKICH (HYLZENA).

Znany do siódmego dziesiątka ubiegłego stulecia, jako gmach rządowy b. komisji spraw wewnętrznych (przed rokiem 1831 i policji), okazały pałac przy zbiegu ulic Przejazd i Nowolipia, powstał na terytorium dawnego pałacu dygnitarza inflanckiego i starosty marienhauskiego, Jerzego Konstantego Hylzena. Syn jego, Jan August Hylzen, poszedłszy śladem ojca, zajął za Augusta III miejsce w senacie i wolne od zajęć służbowych chwile poświęcał opracowaniu dziejów Inflant, gwoli czemu zbierał zewsząd stare akta i kroniki, tworząc w pałacu swoim rozległą bibliotekę. Dzieło Hylzena o Inflantach wyszło z druku w roku 1750 i stanowi jedyną w języku polskim monografię owej dzielnicy dawnej Rzplitej.

Nie przestał być pałac Hylzena ogniskiem nauk i po zgonie jego właściciela, gdy w początkach panowania Stanisława Augusta nabywcą jego stał się jeden z najzasłużniejszych dygnitarzy krajowych z owej epoki, Tadeusz Antoni hr. Mostowski, były współredaktor z Julianem Ursynem Niemcewiczem i Józefem Weysenhofem czasopisma politycznego pod nazwą: *Gazeta narodo-wa i obca*. Reakcja targowicka wywołała Mostowskiego z kraju. Wyjechał do Francji, gdzie się poświęcił badaniom ekonomii, rolnictwa i administracji.

Wróciwszy w roku 1802 do Warszawy, w zamiarze podniesienia nauk, założył wielkim nakładem drukarnię w pałacu przy ulicy Przejazd, sprowadził z Paryża i Lipska najpiękniejsze czcionki i rozpoczął wydawnictwo *Wyboru celniejszych pisarzy polskich*, których wyszło między latami 1803—1805 tomów 27.

Ukazały się w okazałym wydaniu dzieła Naruszewicza, Orzechowskiego, Górnickiego, Kochanowskiego, Szymonowicza, Gawińskiego, Zimorowicza i wielu innych głośniejszych pisarzy polskich.

Książki wydania Mostowskiego, po umiarkowanej cenie sprzedawane, szybko się rozchodziły, a za przykładem inicjatora i inne drukarnie warszawskie zaczęły celować poprawnością i ozdobną szatą swych edycji.

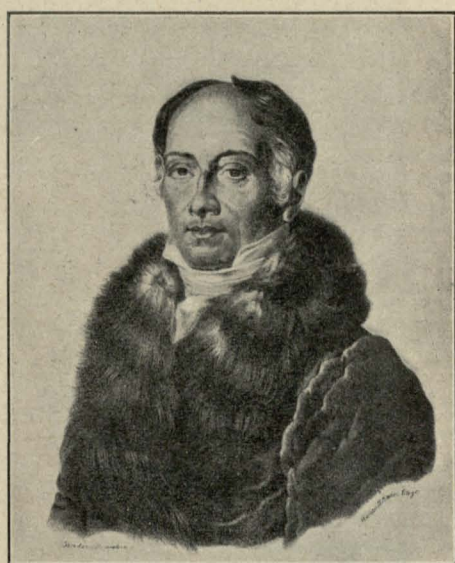
Rozległą działalność obywatelską hr. Mostowskiego, której wiernie towarzyszyła głośna z piękności i zalet umysłowych małżonka, przerwała rewolucja listopadowa.

Skołatany na zdrowiu, wyjechał hr. Mostowski ponownie do Francji, gdzie umarł w roku 1842.

Pałac jego przeszedł w posiadanie władz rządowych, które po zwinięciu ulokowanej tam przędtem komisji spraw wewnętrznych oddały go władzom wojskowym na koszary i kancelarye.

W ostatnich latach dawna siedziba hr. Mostowskich uległa gruntownej przebudowie, z dodaniem nowych oficyn bocznych od strony ulicy Przejazd i Nowolipek.

AL. KRAUSHAR.



TADEUSZ hr. MOSTOWSKI.

Kozacy działają w Persyi.

Państwo szacha perskiego nie przestaje wstrząsać Europą. Teheran co dnia jest widowiskiem nowych scen, chwilami mniej jaskrawych, ale częściej mieszkańcy tej stolicy azjatyckiej są świadkami do żywa poruszających wypadków.

Stan wojenny króluje w Persyi nie na żarty. Władza stara się być nadto „silną”, ma zresztą do rozporządzenia liczne oddziały kozaków, pod dowództwem W. P. Lachowa, działających „sprawnie” a groźnie.

Pułki kozackie przestały więc być osobliwością państwa rosyjskiego, granice ich akcji rozszerzyły się, odkąd



W. P. LACHOW, dowódca kozaków szacha perskiego.

Persya weszła w sferę „protektoratu”, zabezpieczającego jej „całość granic nazewnątrz”, a „porządek” wewnątrz kraju.

Dowódca Lachow wykazuje bardzo dużo gorliwości. Jego oddziały strzegą jednocześnie bezpieczeństwa osoby szacha, który ostatnio bardzo się był ludności naraził i przez czas pewien zamieszkiwał w obozie kozackim poza miastem.

Tak więc kozacy w dziejach Persyi, w okresie panujących tam represji, zajmą nieładną kartę i uwiecznieni będą przez historyków miejscowych.

Z Teatru Małego.

„Dzik”. Sztuka w 3 aktach Maurycego Soulie, tłumaczona z rękopisu francuskiego przez Józefa Kassa.

Rzecz dzieje się we Francji, i to w najarystokratyczniejszych sferach towarzystwa. Pan hrabia Ferdinand Beauvoisin ma żonę i przyjaciela, a nie może doczekać się dzieci. Pan hrabia ma usposobienie szorstkie i torturuje niem żonę, aż nieszczęśliwa kobieta w pewnej chwili psychologicznej szuka ukojenia w objęciach przyjaciela. Ponieważ jednak cnotliwie wychowana niewiasta pełna jest skrupułów moralnych, nie mogąc skłonić męża do rozwodu, skłania kochanka do opuszczenia kraju. Po siedmiu latach włóczęgi po świecie przyja-

cował, zapatrzony w głębię duszy, jakby pokutujący twar-dem życiem za przeszłość i przygotowujący się na godne przyjsie przyszłości.

I z tej męki jego serdecznej przyszło Odrodzenie.

Nie wiem, czy można znaleźć równy przykład przeobrażenia człowieka. Wraz z duszą zmieniła się zdumiewająco i postać zewnętrzna. Zamyślony, milczący, z surowym i przenikliwym wzrokiem, o czarnych włosach mężczyzna—stał się siwym, pogodnym starcem o młodzieńczej duszy. A miał wówczas czwarty krzyżek zaledwie.

Zdawało się, że życie już popłynęło mu równie. Z robotnika stał się serdecznym przyjacielem i prawą ręką inż. Wolskiego (towarzysza pracy Szczepanowskiego) i rozpoczął szereg społecznych prac w gronie bratnich dusz, które zgrupowały się wokół niego.

Lecz on wyczuwał słuch i usłyszał wołanie i jeden z pierwszych stanął w szeregach pracujących w Królestwie.

Przyszedł—nie aby się dać porwać i unieść, lecz aby wskazywać drogi ku gwiazdom przewodnim. W rozszalałej burzy nie zdołał steru pchnąć we właściwym kierunku, lecz czynił, jak czynią ludzie twórcy.

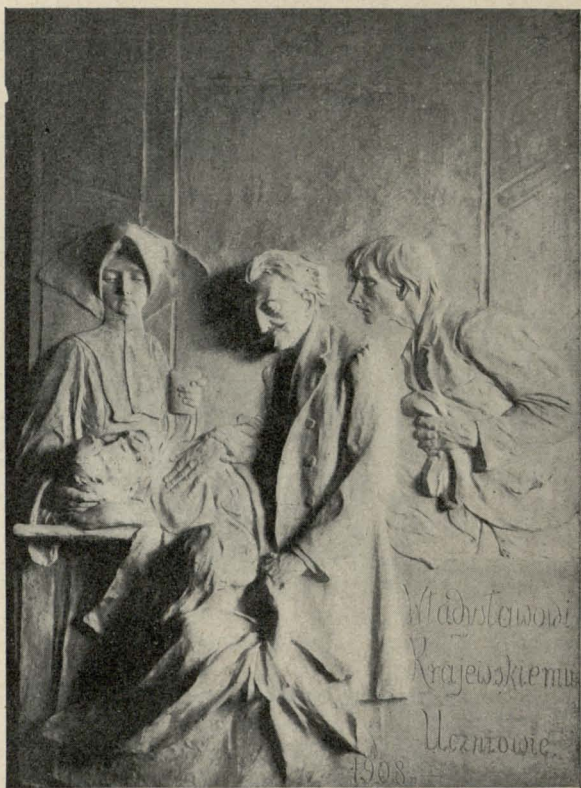
A kiedy burza przeszła i rozbitkom opadły ręce w rozpacz i zniechęceniu, on wiary nie stracił. Wstąpił na najwyższy szczebel rozwoju duszy, zwrócił się do pracy wśród ludu i z ludem. Praca ta pozostanie żywym protestem przeciwko powszechnym twierdzeniom o niewdzięczności i braku zaufania u ludu. Parę lat tylko żył z chłopami, ale żył, jak brat.

Wśród nich umarł. I wokoło trumny rozległ się płacz chłopów, i chłopskie ręce go pogrzebały, i chłopskie ręce kamień położą mu na grobie.

JAROSŁAW DOLIŃSKI.



KOZACY SZACHA PERSKIEGO W TEHERANIE.



Tablica na cześć ś. p. dr. W. Krajewskiego, wmurowana w sali szpitala Dzieciątka Jezus.

ciel ten, p. Henryk Loizel, wraca i zastaje małżonków w najpiękniejszej harmonii:

— Szczęście swoje tobie zawdzięczam — mówi kobieta — nie odgadujesz przyczyny?

— Macie dzieci?

— Mamy syna.

— Mój syn?

— Tak.

Pocziwy Ferdynand jednak łudzi się, że on jest ojcem małego Janka i w złudzeniu tem czuje się jak najlepiej. Szorstkie jego usposobienie zmieniło się do niepoznania, kocha żonę najtkliwiej i jest nawzajem kochany.

Aliści szczęście ich burzy mściwa Ananke. Chłopiec jest uderzająco podobny do swego właściwego ojca. Lekarz, sprowadzony do chorego dziecka, stwierdza to nader kategorycznie drogą uczonej dyagnozy medycznej. Mąż nie ma już wątpliwości, żona nie umie zaprzeczyć. Chodzi teraz o wynalezienie nowej kombinacji do rozplątania tego trójwężła małżeńskiego.

Powtórzy się tu mniej więcej w schemacie bajka o wilku, koźle i kapuście.

Mąż zatrzyma żonę, gdyż ona najprawniej jest jego własnością, czego nawet policyjnie może dochodzić, kochanek zaś weźmie dziecko, którego w rzeczywistości jest ojcem. Ale kobieta za nic w świecie nie rozdzieli się z dzieckiem, jest to bowiem przeciwne prawom natury. Wobec tego pan Beauvoisin postanawia, że kobieta zgodnie z prawami przyrodzonymi pozostanie z dzieckiem, obydwaj zaś panowie pójdą w świat razem, ażeby się wzajemnie dręczyli i pilnowali.

Ostatecznie można się zgodzić i na takie rozwiązanie kwestyi, gdyż nie kwestya stanowi o wartości utworu, ale jej artystyczne przeprowadzenie. Nie będę się sprzeczał z autorem o słuszność argumentów fizyologicznych, które dla dowiedzenia swej tezy powołał, ale o to, że powołał je w sposób, nie sprawiający pożądanego wrażenia estetycznego.

Niema tam tej koniecznej konsekwencji w grze temperamentów i namiętności ludzkich, niema tych cech wiekuiętych człowieczeństwa, któreby się nam mogły narzucić i przekonać, przez które postaci, poruszające się na scenie, mogłyby się uprawdopodobnić i zarumienić krwią życia. Są to tylko blade formuły rozumowego dowodzenia, wywołujące nieskończone dyskusye. Pełną sugestyę dać może tylko szczerą twórczość. Pan Soulie może być subtelnym myślicielem, wzniosłym moralistą, a nawet zręcznym inscenizatorem; utalentowanym twórcą dramatycznym nie jest bynajmniej.

W sztuce tej wystąpiły panie: Duninówna, Bartoszevska, Staszewska, Woroniczówna i Janecka, oraz panowie Adwentowicz, Weychert, Butkiewicz. Zachwycała wszystkich swoim dziecięcym szczebiotem w roli Janka mała Stasia Kozłowska.

Artyści z małymi wyjątkami grali poprawnie. Natomiast mniej niż niepoprawne jest tłumaczenie pana Kassa, tłumaczenie, najeżone dziwolągami językowymi i błędami gramatycznymi. t. j.

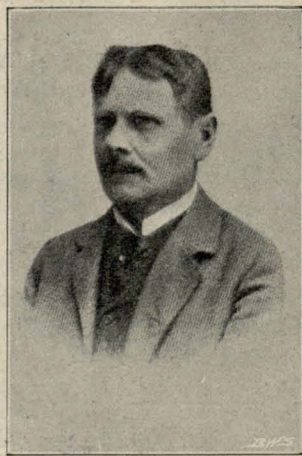
Michał Pocięcha

WSPOMNIENIE POŚMIERTNE.

Michał Pocięcha, zmarły w dniu 22 czerwca r. b. w Krakowie, był jednym z najlepszych naszych akwarelistów, popularny twórca wielkiej ilości swojskich kompozycji, człowiek skromny, a pełen zalet koleżeńskich i społecznych.

Żywoć tego malarza przeszedł w półcieniu jego cichej pracowni, żył on ideą sztuki i miłością kraju, pracował na pożytek moralny tej garści ludzi, którzy w malarstwie cenią rdzenny jego, rodzinny pierwiastek. Nie uganijając się za sławą, nie poszukując cześciej reklamy, tworzył swe poetyczne krajobrazy, zaludniał je postaciami swojskimi i rzucał w świat, dla tych, którzy odczuwać są zdolni szczeroci i prostotę w dziełach sztuki. Nie zajmując nigdy stanowiska luminarza naszej sztuki, Pocięcha wyrobił sobie imię zdolnego malarza, a idąc wciąż drogą postępu, zyskał z czasem dużą popularność wśród najszerzych sfer kraju. Nazwisko jego było znane i cenione ogólnie, każdy żywo miał w pamięci jego niewielkie obrazki, w których pojęciu tkwiła

pewna oryginalność, pewna charakterystyczna cecha, która je czyniła łatwo dającymi się odróżnić.



Michał Pocięcha.

Zmarły artysta urodził się we wsi podwielickiej Prokocimiu, w 1852 r. Wstąpiwszy około 1870 r. do krakowskiej Szkoły Sztuk pięknych, kształcił się w niej do 1876 r. Pierwsze swe obrazki zaczął wystawiać w Krakowie 1875 r. Wyjechawszy do Monachium, pracował w tamtejszej akademii przez lat trzy, zdobywając za swe studia najprzód brązowy, w końcu srebrny medal. Powróciwszy do ojczyzny, osiadł na stałe w Krakowie i zaczął zasilać krajowe wystawy swymi utworami, przeważnie rysunkami lub akwarelami. Olejno malował bardzo niewiele. Czasami posyłał swe prace do Wiednia, do tamtejszego Kunstvereinu. W 1894 r. we Lwowie przyznano mu medal srebrny.

Ze śmiercią Michała Pocięchy ubył nam szczerzy malarz polski, który kochał i sztukę i to, co wybierał do odtworzenia. Natura zajmowała swą stroną wewnętrzną, dusza smętnych pól naszych odzywała się echem w duszy artysty, a odzywała się zawsze silnie, żywoćowo, jak coś bardzo drogiego, bardzo kochanego.

H. PIĄTKOWSKI.



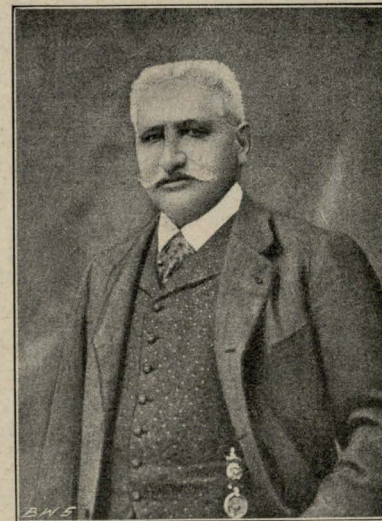
P. Małyszew, nowomianowany prezes warszawskich teatrów rządowych.

Polak wielkorządcą indo-chińskim.

Antoni Kłobukowski, mianowany obecnie wielkorządcą generalnym Indo-Chin, zajmował ostatnio stanowisko ministra Francji w Kairze. Urodzony w Auxerre w 1855 r., jako syn oficera b. wojska polskiego i matki

Francuzki, ukończył szkoły w mieście rodzinnem, a potem prawo w Paryżu w 1875 ze stopniem licencjata. Wszedł zaraz do administracji, jako szef gabinetu prefekta Deux-Sèvres, następnie został prefektem Loiry.

Badając specyjalnie warunki ekonomiczne posiadłości brytańskich, ob-

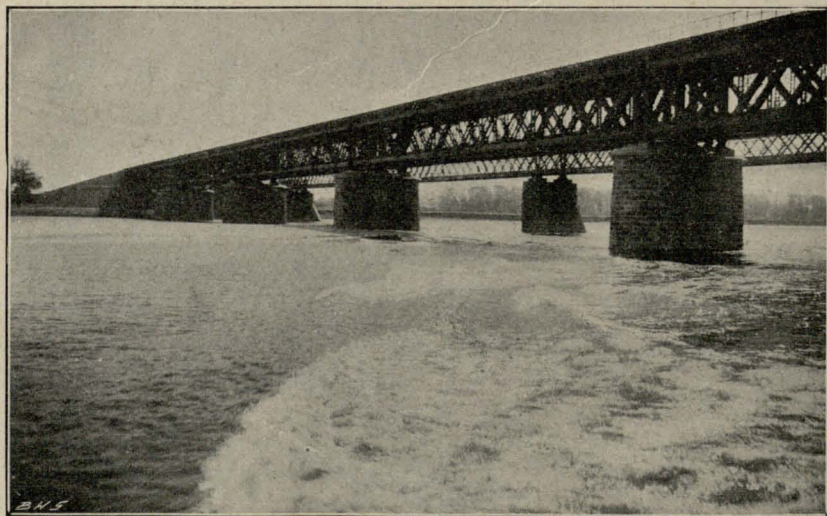


Antoni Kłobukowski.

był drogę handlową z Indii do Chin środkowych przez Kaszmir i Tybet. Mianowany ministrem pełnomocnym w 1901, objął misję dyplomatyczną, razem konsulat generalny Francji w Banghoku i zajmował się bardzo czynnie uregulowaniem stosunków Francji z Synamem.

Nasz dodatek powieściowy.

W numerze niniejszym rozpoczynamy w dodatku powieściowym druk nader ciekawej powieści J. I. Kraszewskiego p. t. „Kościół Świętomichalski w Wilnie“. Rzecz ta, wydana w Wilnie w 1833 roku, nigdy dotychczas nie była przedrukowywana, należy do najpierwszych, najbardziej kolorowych i barwnych prac znakomitego pisarza. Osnuta na tle XVII w., powieść ta w niezwykle inte-



Czwarty most w Warszawie, świeżo wzniesiony w pobliżu cytade'i, dla użytku kolejowego.

resujący sposób opisuje sprawy różnolucy, a ciekawa fabuła i mnóstwo szczegółów charakterystycznych czynią z niej utwór oryginalny, technący jakimś dziwnym urokiem dawno zamierchłej przeszłości. Na „Kościele święto-michalskim” Kraszewskiego znaczący wpływ starego Dumas'a, a mianowicie zawikłania i przygody, tragiczne wypadki, humorystyczne sceny przeplatają powieść od początku do końca.

Godzimir Małachowski.

W zmarłym nagle Godzimirze Małachowskim ubył społeczeństwu człowiek pracy. Małachowski urodził się we Lwowie w r. 1852 i tutaj wzorowy uczeń i słuchacz uniwersytetu otrzymał stopień doktora praw i administracji. Zaczem wybrał palestrę, otwierającą chętnym i uzdolnionym pole do najszerszej aktywności. W r. 1896 powołany zaufaniem obywateli na prezydenta rodzinnego miasta, dziesiątek blisko lat stał na jego czele.

Tu nadmienić należy, iż na czas jego właśnie „ojcowania” Lwowowi przypadły najpoważniejsze inwestycje miejskie. Małachowski przyspieszał więc teraz i wykończył budowę wodociągów, teatru miejskiego,

muzeum, rzeźni, cały „Lwów nowożytny” łącząc ze swoim imieniem.

Równocześnie działał energicznie w Sejmie, zajmując się żywo i skutecznie szkolnictwem ludowym, nauczycielstwa orędownik gorliwy. Przyjąwszy od Izby handlowej lwowskiej mandat posła do Rady państwa, stał się tutaj Małachowski rzeczywistą pozą w sprawach przemysłowych. Jemu to zawdzięczać przyjdzie przeprowadzenie



Godzimir Małachowski.

nowych ustaw: przemysłowej i naftowej. Bywał on też rzecznikiem stanu rzemieślniczego, w którego interesie zabiegał pomysłnie u władz wiedeńskich.

Niezwykle ukształcony, mówca wytrawny, majątkowo oddawna niezależny i, jak się rzekło, zdumiewająco pracowity, mógł jeszcze długo zasługiwać się na właściwej dlań arenie parlamentarnej. Uparta choroba żółciowa położyła kres jego dalszym zamierzeniom. Wojciech Dzieduszycki w mowie pogrzebowej powiedział o nim, iż „padł” jak żołnierz na posterunku, a w słowach tych nie było przesady. Ostrzeżony przez lekarzy, aby się usunął od ostrej walki i wyczerpującego trudu, już w gorączce wygłosił wielką mowę, odstawiając parlamentowi w świetle historii i statystyki istotny obraz kwestyi „ukraińskiej” w Galicji.

Był to Godzimir Małachowski śpiew łabędzi. C.

Osobiste.

Kierownik artystyczny naszego pisma, p. Józef Holewiński, wyjechał na miesiąc do Pieskowej Skąły.

Współredaktor *Tygodnika*, p. Artur Oppman, udał się na odpoczynek do Ojcowa.

Współpracownik naszego pisma, historyk, p. Henryk Mościcki, wyjechał na studia naukowe do Paryża i Szwajcaryi.

NASZE RYCINY.

Janowski Ludomir. „Portret”. Uczeń niegdyś akademii petersburskiej, wyzwolony jednak z szablonów akademickich, maluje przeważnie portrety kobiece z nieporównanym wdziękiem. Portret jego to skończone pod każdym względem arcydzieło, jako nastrój, rysunek i niesłychana czystość koloru. — *Wacław Brożik. „U alchemika”.* Znakomity malarz historyczny czeski, którego obrazy niejednokrotnie zdobyły karty *Tygodnika*, zajmuje pierwszorzędne stanowisko zarówno w sztuce czeskiej, jak i międzynarodowej. Zawsze szeroki w kompozycji, maluje z drobiazgową dokładnością szczegóły, nie naruszając całości. W każdym pociągnięciu pendzla czuć olbrzyma, rozporządzającego wszelkimi środkami i mądrością artystyczną. Dziś reprodukowany obraz przedstawia alchemika, pokazującego dworowi cesarskiemu próbkę złota, jakoby przez siebie wyprodukowanego. — *Francesco Paolo Michètti, dziecię Abruzzów,* urodzony w r. 1851, jest synem wyrobniaka z Tocco da Camaria. Pierwszorzędny kolorysta, obdarzony bujnym temperamentem, włada wielką techniką malarską, czy to w odtwarzaniu typów ludowych, pełnych lirycznego wdzięku, jak *„Pastuszka”*, lub charakterystycznych scen z życia ludu.

N A D E S Ł A N E.

**SZCZOTKI DO WŁOSÓW, SUKIEN,
SZCZOTECZKI DO ZĘBÓW I PAZNOKCI,
GRZEBIENIE DO CZESANIA** rogowe, kauczukowe z kości
słoniowej i szyldkretowe

POLECA

STEFAN POREBSKI
Kraków, Rynek 32, linia C-D

**C-SKORYNA i S-KA FABRYKA MASZYN
I KAMIENI MŁYŃSKICH
BUDOWA MŁYNÓW
WARSZAWA - PRAGA WSZELKIE ARTYKUŁY MŁYŃSKIE.
OLSZOWA 14. TURBINY, TRANSMISJE i t. p.**

DLA PRENUMERATORÓW „TYGODNIKA”
mamy na składzie

**Okładki ozdobne DO PÓŁROCZY
„TYGODNIKA”**

po rub. 1, z przesyłką i opakowaniem rub. 1.35.

Piękne artystyczne teczki

Do cyklu „BOŻY ROK” Piotra Stachewicza
po rub. 1.50, przesyłka i opakowanie kop. 50.

LECZNICA DLA DZIECI D-ra Juliana Gawrońskiego

Plac Ś-go Aleksandra 18 (róg Brackiej),
telefon 40-33. Przyjęcia od godz. 9 do 11
rano. **Porada 50 kop.**



Kto! dba o zdrowie,
ten powinien
zaopatrzyć się w prysznic „Neptun”, który
był badany przez War.
Radę Lekar. i został zatwierdzony za № 6465,
jako środek dla celów
hydropatycznych. Zajmuje mało miejsca, a
można doskonale się wykąpać, tak zimną
jak i ciepłą wodą. Kosztuje gat. I
rb. 3 k. 25, II rb. 2 k. 60, III rb. 2.25.
Prysznic z niklowanym rezerwuarum
i częściami mosiężnymi niklowanymi
rb. 5.50. Miednice cynkowe od rb. 3.75.
Wysyła się za zalicz. poczt. na prowincję.
W składach żądać z № sw. pat.
25283. Wyroby własne. **T. MARZEC**
Warszawa, Nowogrodzka 42.

MARIENBAD „Haus Hamburg”

dr. St. Benedykt
Kwiatkowski, b. I Asystent kliniki chorób
wewnętrznych Uniwersytetu Jagiellońskiego,
ordyn. od 1 maja do 1 października.



Księgarnie Gebethnera i Wolffa

W WARSZAWIE,

Krak.-Przed. 15 Nowosienna 9
pośredniczą

w prenumeracie pism

krajowych i zagranicznych
po cenach redakcyjnych.

Szanownych prenumerato-
rów „Tygodnika Ilustro-
wanego” prosimy o wnie-
sienie opłaty na drugie
półrocze r. b.



ODPOWIEDZI.

Z. H. Morst. Nie możemy wydrukować art. „Pro memoria” H. K. Rostw.

P. Gust. Kirk. w Krakowie. Z powodu mało poprawnej formy wiersza „Na Kahlenbergu” drukować nie będziemy. Jak słońce może ciskać „Złota kawaly”?

Krystynie z Omska. Niestety, utwór Pani „Sen” pozbawiony jest wszelkiej wartości literackiej, jakkolwiek wydaje się szczerym wybuchem uczuć, przeżywanych przez Autorkę. Nie do druku.

Prenumeratorka M. Sz. O. Wszyscy całorocznymi prenumeratorem otrzymają premium. Spóźnienie nie jest z naszej winy, jak szan. pani wiadomo.

P. St. Leszczyńskiemu w Siedlcach. Herb, opisany w liście pańskim, nosi w heraldyce polskiej nazwę *Habdank*. Opis dokładny tego jednego z najstarszych herbów naszych wraz z historią jego powstania i bardzo dokładnym spisem rodzin, które się nim pieczętują, znajdzie Sz. Pan w „Wielkiej Encyklopedyi Powszechnej” w artykułach: „Abdank” i „Habdank”.

Psyche. Próba pisma za mała, bez ofiary najmniej kop. 50 na Czytelnie bezpłatne, nadesłanych do oceny grafologicznej listów nie uwzględniamy. Premium otrzymają wszyscy całorocznymi prenumeratorem.

P. Jentysowi w Zawierciu. Szanowny pan może otrzymać premium tylko przez księgarnię, w której prenumeruje pismo. Wszyscy całorocznymi prenumeratorem otrzymają premium bezpłatnie.

Nagrodzone **złotymi medalami**, a zalecane przez pp. doktorów i lekarzy-dentystów: eliksir, pasta i proszek

„TYMENTOL“


jako najlepsze środki do czyszczenia i konserwowania **zębów**, oraz odświeżania jamy ustnej. Poleca Centralne Laboratorium Chemiczne w Warszawie. Sprzedaż w składach aptecznych.

Farbiarnia Parowa, Pralnia Chemiczna i Dezynfekcja

Ch. GEBER w Grochowie

Magazyny w Warszawie: Chłodna Nr 18, Niecała Nr 9, Dzika Nr 7, Leszno Nr 4, Nowy-Świat Nr 49, Sienna Nr 2 a, Praga Brukowa Nr 32, Długa Nr 19.
Filie: Łódź, Zielona Nr 5. Częstochowa, II Aleja Nr 34.

JÓZEF FRAGET



FABRYKA
**WYROBÓW PLATEROWANYCH
I SREBRNYCH 84-ej PRÓBY**
Warszawa, Elektoralna 753/16.

SKŁADY:
Wierzbowa 8. Nalewki 16.

NARZĘDZIA LEKARSKIE,
ARTYKUŁY LECZNICZE I OCHRONNE,
WYROBY NOŻOWNICZE

Bronisław Krug

Warszawa, Bracka 18, telef. 35-47.
Ceny fabryczne. Wysyłka za zaliczeniem.

J. MIECZKOWSKI, Fotografia
Marszałkowska III. Telefon 16.81.

**LUDEWIK SZUFA
KRAWIEC**
KRAKOW TELEFON 671

HOTEL SAVOY

W WARSZAWIE, NOWY-ŚWIAT
Elektryczność, Winda, Kąpiele, Restauracja pod
własnym zarządkiem. Centrum miasta.

FORTEPIANY, PIANINA,
PIANOŁE, FONOŁE
GEBETHNER i WOLFF
ORGANY, MELODYKONY
Warszawa, Krak.-Przed. 17

MARYÓWKA

Sanatorium i Zakład wodolecznicy pod
Lwowem. Przyjmuje chorych celem leczenia.
Wszelkich wyjaśnień i prospekty odwrotnie
wysłała właściciel dr. Józef Zakrzewski.

NAJLEPSZA KAWA
SKONCENTROWANA



EXTRAIT de MOCCA
Eugeniusz Widgier i S-ka
WARSZAWA,
Al. Jerozolimska 25, tel. 35-33.

Nowe maszyny
DO BIELENIA I DEZYNFEKCYI

„APOLLO“

nadzwyczaj dogodne w użyciu, nieod-
zowne w każdym gospodarstwie.

PASY SKÓRZANE

oryginalne angielskie w najlepszych
gatunkach, poleca

ALFRED GRODZKI

Warszawa, 33, Senatorska.

PISZCZANY



w GOŚCIEU, ISCHIAS,
RHEUMATYZMIE,
ZAPALENIU-STAWÓW

Najsilniejsze naturalne
gorące kąpiele siarcza-
no-mułowe. Rezultaty nie-
zrównane. Urządzenie łazien-
nek i hoteli zakł. od naj-
skromniejszych aż do wykwinnych. Wia-
domości udziela **Dyrekcya Kąp.** w Piszc-
czanach, na Węgrzech, albo D-r Teichmann,
zimą Kraków, latem Piszczany.

Denaturowany spirytus.
Spirytus stały w puszkach,
spirytusowe lampy, palniki,
kuchenki, żelazka i t. p.
B-CIA WIŚNIEWSKY i S-ka
Foksal 18, Telefon 3089.

MAŁECKI
Fabryka
Fortepianów
i Pianin
PIĘKNA Nr 1 (róg Alei
Ujazdowskiej) tel. 170.65.

DLA PRENUMERATORÓW „TYGODNIKA ILLUSTROWANEGO“ w ROKU 1908.

NOWA SERJA.

12 TOMÓW DZIEŁ HISTORYCZNYCH, LITERACKICH I NAUKOWYCH

W cenie niższej rb. 6, zamiast rb. 23 kop. 90.

Chmielowski P. Józef Ignacy Kraszewski. Zarys biograficzno-literacki	3.—
Desmolins E. Szlaki dziejowe a typy społeczne. Szlaki starożytne. Przyczynek do geografii społecznej. Spolszczył Ludwik Krzywicki	1.50
Kochanowski J. K. Szkice i drobiazgi historyczne	2.—
Papée F. Studya i szkice z czasów Kazimierza Jagiellończyka	2.40
Raleigh T. Zasady elementarne polityki, z angielskiego tłómaczył Dr. J. Polak	—.60
Smoleński Wł. Ostatni rok Sejmu Wielkiego (dalszy ciąg dzieła ks. Kalinki p. t. Sejm czteroletni). Wyd. 2-gie	3.40

Sobieski W. Dr. Szkice historyczne	1.50
Sprawy szkolne i wychowawcze. Odczyty, wygłoszone w wydziale wychowawczym Tow. higienicznego. Serya I	1.—
Tokarz W. Ostatnie lata Hugona Kołłątaja, 1794—1812. Praca, odznaczona nagrodą im. J. U. Niemcewicza. 2 tomy	4.50
Weysenhoff J. generał. Pamiętnik 1789—1831. Z portretem autora, wydał Józef Weysenhoff	2.—
Zdziechowski M. Szkice literackie I.	2.—

12 POWIEŚCI

W cenie niższej rb. 5, zamiast rb. 15 kop. 30.

Gawalewicz M. Mgła. Powieść	1.20
Gliński K. W Babinie. Powieść z pierwszych lat Rzeczypospolitej Babińskiej. 2 tomy	2.50

Gruszecki A. Słomiany ogień. Powieść współczesna	1.50
Jabłczyński F. Romans.—Okolo śmierci.—Przy robotach.—Szum drzew.—Eustachiusz.—Panna Anna i inne obserwacje życia.—Uczciwy człowiek.—Don Marco Bullon.—Pantofle	1.50
Jeske-Choiński T. O mitrę gospodarską. Powieść historyczna z XVI stulecia	1.50
Kosiakiewicz W. Plama (Z pamiętników wynalazcy)	1.—
Mutermilch M. Żydzi. Powieść	1.50
Orkan Wł. Nowele. Z przedmową Kazimierza Tetmajera	1.—
Prévost M. Listy do Frani. Przekład Maryi Rodysowej, z 59 wydania oryginału	1.20
Rojan K. Lepsze czasy. Powieść	1.20
Jwidarska A. Obok szczęścia. Powieść współczesna	1.20

Nagrodz. złotym medalem na wyst. przemysł.-zdrowej w Ciechocinku

Pierwsza warsz. Fabryka styl. Mebli trzećinowych T. & W. Krakowscy

Kantor: Warszawa,
Nowogrodzka 36. Tel. 36.83.

Bracia ŁOPIEŃSCY polecają **BRONZY** Magazyn **Krakowskie Przedmieście** **Nr 15** dom Hrabiego **J. Potockiego**

Redaktor Dr. JÓZEF WOLFF. Współredaktor literacki Artur Oppman (Or-Ot). Kierownik artyst. Józef Holewiński. Sekr. red. Stefan Gorski. Wydawcy: GEBETHNER i WOLFF

Redaktor przyjmuje we czwartki i piątki, od godz. 1 do 2. — Rękopisów pomniejszych i materyałów rysunkowych nadesł. do redakcji, nie zwraca się

Druk Piotra Laskauera i S-ki, Warszawa